

Wies' ilustrowana



Luiza 1912

Dom bankowy BR. POPŁAWSKI

w Warszawie
CZYSTA 8 (róg Wierzbowej)

Założwie

OSTRZEŻENIE.



Skład broni **J. SOSNOWSKI, Trebacka 9**, zawiadamia, że ogólnie uznane za najlepsze bronie firm: **G. Defourny-Sevrin, Liège** i **Manufacture Liégeoise d'Armes à Feu, Liège**, nabyć można wyłącznie w powyższej firmie; bronie zaś z napisem nie identycznym, są falsyfikatami, korzystającymi z podobnie brzmiącego nazwiska i firmy.

Jedyny reprezentant powyższych fabryk na Cesarstwo i Królestwo

C. LISOWSKI.



FIRANKI **DIWANY** Materje meblowe
PORTJERY
Własnej fabryki

Nº 16 (wprost
Erywańskiej)

ul. Mazowiecka Nº 16.

A. HERTEL

FABRYKA POWOZÓW

W WARSZAWIE, DŁUGA Nº 29.

TELEFON Nº 22-21.

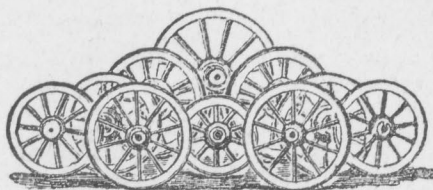


Rezerwa od roku 1850

NAWOZY SZTUCZNE

NAJKORZYSTNIEJ NABYWAĆ

w Warsz. Tow. Akc. **Ludwik Spiess i Syn** w Warszawie.



Wielki Medal Srebrny na Wystawie w Lublinie 1908 r.
Złoty Medal na Wystawie w Częstochowie.

SPECJALNA FABRYKA KÓŁ I WOZÓW

H. WAGNER i S-ka

WARSZAWA, ULICA ŁUCKA Nº 11. TELEFON Nº 62-99.

Koła do karet, powozów, bryczek, platform, wozów i wszelkie inne gwarantowanej trwałości, naciągane **na zimno** na maszynach hydraulicznych. Nowe wozy kolejne, saskie i półtoraczne.

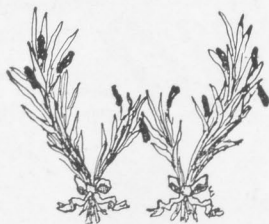
Cenniki na żądanie gratis i franko.

Wies' ilustrowana



Zygmunt Krasiński
(podług stalorytu z oryginału olejnego Ary Scheffera, ze zbiorów ordynata Adama hr. Krasińskiego).

19 LUTEGO 1812—1912 ROKU.



początku owego roku, co był dla nas najwyższym paroksyzmem wiary w bliskie, w granicach kraju już stające odrodzenie i co wszystkie te złudzenia rozwiął w tumanach śnieżycy zasypującej gwiazdę napoleońską na „wielkim trakcie“, z pod murów Moskwy wiodącym — urodził się narodowi naszemu najmłodszy z nieśmiertelnej trójcy wieszczów jego.

Dnia 19 lutego przyszedł na świat w Paryżu Napoleon Stanisław Adam Feliks Zygmunt hr. Krasieński, syn Wincentego i Marii z ks. Ra'ziwiłłów.

Ród, z którego pochodził, dawny i znany, pod koniec XVIII wieku rozwinął się świetnie i doszedł do wielkiego znaczenia dzięki stanowisku, jakie właśnie zajął ojciec przyszłego poety. Wincenty hr. Krasieński, pomimo oporu matki swej, z hr. Czackich, siostry rodzonej Tadeusza Czackiego z Porzycka, starościny Opinogórskiej, wstąpił w służbę napoleońską w wojsku polskim i odbywszy pod rozkazami Napoleona kampanię hiszpańską oraz wyprawę do Moskwy, jako generał i adjutant, służył mu wiernie aż do abdykacji w Fontainebleau. Walczył dzielnie w roku 1813-ym pod Lützen, Bautzen, Dreznem i Lipskiem, w roku 1814 pod Brienne, a po abdykacji w tryumfalnym pochodzie przez całą Europę odprowadził do Warszawy walczne resztki armii polskiej.

Otrzymawszy od cesarza Aleksandra I-go rangę generał-adjutanta pozostał w służbie wojskowej Królestwa Polskiego, a jako senator-wojewoda otwierał w r. 1818 Sejm Polski. Brał też wybitny udział w życiu społecznym całego kraju, żywo interesował się sprawami Towarzystwa Przyjaciół Nauk i szczególną uwagę zwracał na wychowanie syna Zygmunta.

Pierwsze lata życia spędzał też młodzieńki Zygmunt w pałacu rodzicielskim w Warszawie, na wczasy letnie wyjeżdżając do rodzinnego majątku Opinogóry.

Posiadłość ta*) położona w powiecie Ciechanowskim, o 6 wiorst drogi bitej z Ciechanowa do Przasnysza, składa się z kilkunastu folwarków i stanowi ordynację rodu Krasieńskich, ufundowaną wła-

śnie przez generała Wincentego. Niegdyś włości te należały do książąt mazowieckich, którzy mieli tu dworzec myśliwski często w nim czasu łowów przebywając. W roku 1454 zmarł tu Bolesław, książę



Wnuk poety, s. p. ordynat Adam hr. Krasieński w mundurze szwoleżerów (fot. zakł. fot. W. Dębski i A. Mastowski).

*) Pragnąc do rocznicowego artykułu niniejszego dodać jeszcze garść ilustracji rodowego gniazda poety, wraz z szczegółowym jego opisem, delegowaliśmy do Opinogóry specjalnie jednego z naszych współpracowników, wraz z fotografem. Dziwna jednak obojętność obecnych właścicieli ordynacji opinogórskiej względem usiłowań zmierzających do upamiętnienia naszemu społeczeństwu dziejów życia jednego z największych naszych wieszczów, należącego dziś już do ogółu polskiego — udaremniła nasze chęci. (Przypisek Redakcji).

Mazowiecki, na którego pamiątkę wystawił też hr. Wincenty pomnik w parku opinogórskim; ufundował też tam w r. 1841 kaplicę murowaną, gdzie

znajdują się groby jego i jego żony, oraz syna Zygmunta.

Pierwszym nauczycielem młodziutkiego Zygmunta był sławny potem pisarz polski, Józef Korzeniowski. Poznał on się rychło na zdolnościach swego wychowanka. W jednym z listów do generała pisał o Zigmuncie: „uczy się dziecię dobrze i z ochotą; przytem wesołe, je dobrze, skacze jeszcze lepiej, śpiewa z arfą, brzęczy pałaszem, rezonuje o polityce i moralności, słowem mam tu w miniaturze trubadura i rycerza, aktora i filozofa...“ W rok potem (1820) po Korzeniowskim objął obowiązek wychowania i kształcenia młodego Zygmunta Piotr Chlebowski, a w roku 1826 wstąpił czternastoletni już jego wychowanek do ostatniej klasy liceum warszawskiego, gdzie kolegował z Dominikiem Magnuszewskim i Stanisławem Koźmianem, a ściślejszą przyjaźń zawarł z Konstantym Gaczyńskim i Konstantym Danielewiczem, której przez całe życie wiernym pozostał. Młodość owych czasów żywo zajmowała się poezją; romantyzm wykwił na ruinach zawiedzionych nadziei i począł zmagać się

z klasycyzmem. Ulegając ogólnym prądom, Zygmunt wraz z Gaczyńskim i Magnuszewskim już na szkolnych ławach próbować począł sił własnych w piórze. Napisał jakąś powiastkę i wydrukował ją w domowej drukarni, ofiarował w darze swemu ojcu. Przełożył także „Świteziankę“ Mickiewicza na język łaciński.

Po ukończeniu liceum w r. 1827, wstąpił Zygmunt do uniwersytetu warszawskiego na wydział prawa i administracji, uczęszczając przytem na lekcje na wydziale filozoficznym, między innymi w roku 1828 — 1829 słuchał wykładów literatury polskiej

Brodzińskiego. Wówczas też namiętnie rozczytywać się począł w literaturze romantycznej. Walter Scott szczególnie zajął jego wyobraźnię i z zachwytem odczytał „Konrada Walenroda“, o którym pisał pod datą 26 marca 1828 r. „zdaje mi się, że jeszcze Polska nic takiego nie miała“. Wówczas też powstawać pod jego młodocianem piórem poczęły pierwsze literackie próby, a więc: „Pan trzech pagórków“ (Opinogóra 1828), „Grób rodziny Reichstaltów“ (1828), „Mściwy Karzeł i Masław książę Mazowiecki“ — powieść narodowa (1830), „Zamek Wilczki“ (1830), trzytomowa powieść „Władysław

Herman i dwór jego“ (1830) i „Sen Elżbiety Pileckiej“ (1829).

Tymczasem jednak zdarzył się wypadek, który w życiu początkującego poety spowodował zwrot ważny. Zachowanie się generała Krasińskiego w znanej sprawie sądu sejmowego na Krzyżanowskiego i towarzyszy, ściągnęło nań zarzut odstępstwa od sprawy narodowej, a wstrzymanie się Zygmunta od udziału w manifestacji z okazji pogrzebu senatora Bielińskiego, poddyktowane posłuszeństwem woli ojcowskiej, wywołało ze strony



Generał Wincenty hr. Krasiński.

uniwersyteckich jego kolegów publiczną i niezastudzoną obelgę. Jak głęboko tkliwa wrażliwość młodzieńcza poetyckiej duszy Zygmunta cios ten odczuła, mamy dowód w „Niedokończonym Poemacie“ — ów znany ustęp, w którym, opisując to zajście, mówi: „Boże! w piersiach dziecinnych pierwszy raz wtedy piekło się urodziło!...“

Burze uczuć i myśli przeszły wówczas przez duszę siedemnastoletniego zaledwie, ale geniuszem i szlachetnością ducha przewyższającego innych kolegów Zygmunta! Kolizja między potrzebą zewnętrzną manifestacji miłości dla ojczyzny a przy-

wiązaniem do ojca, pozór odstępstwa, gorycz niezasłużonej obelgi, wstrząsnęły nim silnie i oddziaływały na całe życie. Ale w innej duszy zostawiłoby takie przejście kulawiznę duchową — jakiś żal głuchy i ciężki, jakąś może nienawiść... w duszy Zygmunta z żalu i goryczy wykwitła jedna tylko myśl, co dewizą całego życia mu się stała potem: *przebacz im w duchu i kochaj ich w czynach!*"

Wypadek wspomniany przerwał warszawskie studia Zygmunta. Młodzieniec wyjechał do Genewy. Tam studjował dużo, czytał Byrona, Moora, Washingtona Irvinga, Southey'a i Shelleya —

zakochał się po raz pierwszy w Angielce, Henryecie Willan. Nieprzystawał też pisać. Powstały wówczas utwory: „Zawisza“, „Opisanie jeziora Lemana“, „Teodoro, król Borów“, „On“, „O stanie literatury polskiej“, „Fragmenty dziennika“, „Fragmenty snu“, „Refleksje nad śmiercią“, „O Legionach polskich“, „Historja młodzieńca“, „Spowiedź Napoleona“, „Agay-Han“. W sierpniu 1830 r. zaznajomił się Krasiński z bawiącym wówczas w Genewie Mickiewiczem i odbył z nim parotygodniową po Szwajcarii wycieczkę. Sumę odniesionych z obcowania z Adamem wrażeń streścił Zygmunt w entuzjastycznym liście do ojca, pisząc o tem spotkaniu między innymi: „zupełnie mi wyperswadował (Mickiewicz), że szumność jest głupstwem tak w działaniu, jak w mowach, jak w pisaniu, że prawda i prawda tylko może być piękną i poeńną

w naszym wieku, że wszystkie ozdóbki, kwiaty stylu są niczem, kiedy myśli nie ma; że wszystko na tej myśli polega i że chcąc być czemś teraz trzeba uczyć się i uczyć i uczyć i prawdy wszędzie szukać, nie dając się uludzić przez błyskotki, które świecą przez czas jakiś, jak robaczki na trawie w maju, a potem gasną na wieki! Spotkanie z nim (Mickiewiczem) wiele mi dobra przyniosło“.

Dnia 3 listopada 1830 r. opuścił Zygmunt Genewę i przez Medjolan, Florencję, przybył do Rzymu. Czekwały tu nań nowe, wielkie wrażenia, czekały czarne, księżycem osrebrzone mury i prochy Colos-

seum — kolebka olbrzymia „Irydjona“, z głazów i kamieni krwią męczeńską ociekłych, z krzyżem drewnianym na piersi...

Ale nim usiadł na tym zwale kamieni i wspomnień, by zakląć je w pieśń cudowną dla „ziemi mogił i krzyżów“ — przyszedł dzień 29 listopada i zaczął się rok 1831. Wydzierał się do kraju — wola ojca trzymała go zagranicą. „Ten cały czas przebolełem, przeszałem, przechorowałem... wycierpiałem za winy wszystkich przodków moich...“ pisze w marcu 1832 r. do Konstantego Gaszyńskiego — a potem: „dużo się odmienił,

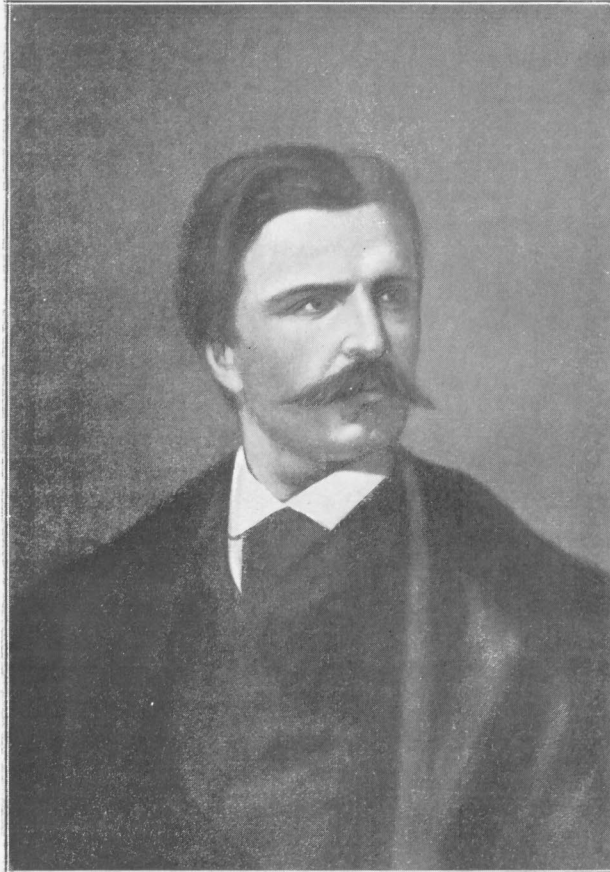
Konstanty! nauczyłem się daleko częściej o niebie myśleć, niż o ziemi, zwątpiłem o szczęściu, bo widziałem, iż to istna mara, a za nią gonić nawet nie warto... wielkość zaś u mnie zależy na tem, by cierpieć i nie żalić się, by ziemią pogardzać i zawsze być gotowym do odepchnięcia jej od siebie, jak łódkę od brzegu...“

Istotnie — w przełomie tym duchowym odmienił się Krasiński. Z młodzieńca, w paru miesiącach, wyrósł dojrzały, znający się już z bólem — mąż. Zająrzył w oczy życiu i prawdzie ludzkich stosunków; z tego spojrzenia spłynęła mu w serce gorycz i żal; i tęsknota za tem, czego wiedział już, że nie znajdzie. Ale tęsknił. Więc wędrował z miejsca na miejsce. Do Wiednia, do Wenecji, do kraju, do Kissingen, znowu do Włoch, znowu do Niemiec, znowu na Południe. Spotykał kobiety, które wydawały mu się ukojeniem i prawdą. Kochał je. Każdy podręcznik naszej literatury wymienia kolej tych wędrowek, imiona tych kobiet, sławnych przez to, że skrzydła swe ocierały o dusze zakłęte w harfy...

Powstały w tych kolejach najpiękniejsze utwory naszego piśmiennictwa, naszej poezji, naszej wieszczby proroczej. Tytuły tych dzieł wszyscy znają. Nie idzie nam o wymienienie tego, co Krasiński napisał — ale o to, co ogół polski — żyjący — co przyszłe pokolenia — te, które po nas przeszłością karmić się będą jeszcze musiały, nim własną przy-



Władysław hr. Krasiński
(z biustu Rolland'a ze zbiorów Biblioteki
hr. Krasińskich).



Władysław hr. Krasiński
(ze zbiorów Biblioteki hr. Krasińskich. — Fot. Tow. „Sfinks“).

szłość zbudują — z wieszczby i gędźby Zygmunta, z ducha jego, z jego jasnovidzeń i podniebnych wzlotów wziąć mogą, co brać powinny pełną garścią na chleb duchowy, na niespożytą żywota swego moc.

„Słowa są marną połową arcydzieł życia“ — powiedział w jednym z najpiękniejszych swych poematów, brmiącym stalowym dźwiękiem niewzruszonego dogmatu jego wiary, syntezą jasnovidzeń, przeczuć i przemyśleń. Ale kończąc tę pieśń, jedną z najwznioślejszych, jaką ludzkie kiedykolwiek wyśpiewały usta, mówi: „zgińcie me pieśni! wstańcie czyny moje!“.

A prawidła i zasady czynu wskazał i wyłożył jasno, na każdej prawie dzieł swoich stronnicy kładąc pod myśl społeczną o nich trwałe i mocne, jak kryształ czyste, podwaliny ducha.

Odrzucił wszelki brud interesów materialnych i zysków powszednich, wszelką plewę względów na codzienne, przyziemne dobro i spokój powszednich dni i powszednich trosk — zostawił samo tylko najczystsze ziarno uczuć.

W spuściźnie myśli jaką nam pozostawił niema rzeczy drobnych. Każda zakrojona jest na bohaterską miarę, każda z najczystszej stali męskiego hartu ukuta. I niema w ideach jego kompromisu

żadnego. Niema rozpacz — bo stoi na jej miejscu wiara. Niema zwątpienia — bo jest dobra wola. Niema goryczy, — jeno żal, niema nienawiści — jeno miłość.

Od szerokiego poglądu na losy całej ludzkości zeszedł do wybranego umiłowania swojego narodu i z miłości tej siłą wieszczyczych natchnień wysnuł sen-cud, sen-moc, sen-wiarę w tego narodu przyszłość.

W epoce tak odbiegłej od takich jasnovidzeń wieszczyczych, jak ta, którą przeżywamy obecnie, w czasach takiego spraktykowania wielkich idei na liczmany codziennego obiegu — stoi ta wielka wiara Zygmunta jak posąg-olbrzym, jasny ogniem, którego nie zgasi czas ani zapomnienie.

I jeżeli nawet dziś znalazłby się Polak, co by nie dojrzał glorii od tego posągu, promieniami w przyszłość bijącej, pozostanie Krasiński ofiarnikiem narodu, któremu oddał całą duszę i wszystkie swe siły, cały swój geniusz... miał też prawo powiedzieć o sobie i obu tak bliskich swej duszy, największych naszych narodowych duchach:

„Jakkolwiek pieśni me pojma szyderce,
My już w niej — całe wyśpiewali serce!“



Generał Wincenty hr. Krasiński w stroju maltańskim
(ze zbiorów Biblioteki hr. Krasińskich. — Fot. Tow. „Sfinks“).



Wycieczka młodzieży z okolic Wyszkowa do majątku Kroczevo p. J. Czarnowskiego, w Pułtuskiem (fot. amat. p. J. Czarnowskiej).

W OBRONIE MŁODYCH.

W ostatnim zeszytowanym numerze „Gazety Rolniczej“ wystąpił znany obywatel-rolnik, p. Marjan Kiniorski, z szeregiem zarzutów przeciwko młodzieży ziemiańskiej, zawartych w artykule p. t. „Inne czasy, inni ludzie...”

„...Gdy porównuję chwilę dzisiejszą z okresem z przed lat 10 lub 15 — pisze pan Kiniorski. — to skonstatowawszy znaczny wzrost wiedzy zawodowej w sferze młodych rolników, jednocześnie stwierdzić musimy fakt, że pod względem odczucia potrzeb ogólnonarodowych i zapału do pracy społecznej pokolenie to stoi o wiele niżej od ówczesnej młodzieży...”

Zarzut ciężki.

Zwykle dotąd bywało inaczej. Zwykle starsi wyrzucali młodszemu zbyt entuzjazm, zbyt optymistyczne światopoglądy, zbyt ufną ufność w swe młode, niezużyte jeszcze znojem żywota siły.

Trzeźwości, umiarkowania — nie wyrzucali dotąd tym młodym nikt. P. Kiniorski zarzuca im nadto coś jeszcze o wiele gorszego: brak odczucia potrzeb ogólnonarodowych i zapału w pracy.

Tu już nie idzie o mniej lub więcej zrównoważone światopoglądy, o więcej lub mniej umiarkowane przekonania — tu idzie wprost o uczucia, o najsilniejsze z nich — o patriotyzm.

Zarzutu tego młodzież ziemiańska nie może zostawić bez odpowiedzi. A chociaż p. Kiniorski motywy do wystąpienia swego zaczerpnął tylko z własnego, znanego ogólnie uczucia obywatelskiego, chociaż nie nadał uwagom swoim bynajmniej dobitnego i ostrego tonu potępienia bez apelacji, jakkolwiek nawet poruszenie tej kwestji, jak to znać z artykułu, jego samego przedewszystkiem boli — odpowiedź jest niemniej konieczna. Jesteśmy zupełnie pewni, że młodzież da ją w tej

formie, na jaką patriotyzm p. Kiniorskiego i jego stanowisko zupełnie zasługuje i z tym wyrazem prawdy, z tą argumentacją opartą na faktach, której waga samej kwestji wymaga.

Znając jednak dobrze tę młodzież naszą ziemiańską i stykając się z nią dawniej i dziś na różnych polach pracy, przy różnych i troskach i zawodach i bólach i cierpieniach ogólnych, widząc ją jak formuje sobie byt niezależny i jak w chwilach wypoczynku rozrywki, czy wczasów używa — niezależnie od tego, co ona sama od siebie na postawione jej zarzuty odpowie — pozwalam sobie w jej słusznej obronie garść uwag ogólnych rzucić.

Warunki bytu zmieniają się z jednego dziesiątka lat na drugi, a z nimi zmieniać się muszą i okoliczności, w których wykształca się umysł, dojrzewa serce, mężnieje duch rosnących pokoleń.

Ten szereg, do którego p. Kiniorski i jego rówieśni wiekiem towarzysze pracy należą, wyrasta w atmosferze tak silnych i tak jeszcze bezpośrednich wzruszeń, że przedewszystkiem musiały one się odbić na wykształceniu serca; na wzbogacenie ducha, mniej miejsca, mniej czasu zostawiając dla kształcenia umysłu. Okres, który potem nastąpił musiał wagę swoją na to ostatnie właśnie przerzucić. Nawet wtedy, kiedy milknąć już poczynęły hasła organicznej pracy, jako drogowskazu narodowego postępowania, pozostał na całym życiu naszym, zwłaszcza też na życiu ziemiańskim silny tych hasła nalot. Wyrazem tego nalotu, tego zwrotu w kierunku ideowym, tego porzucenia hasła romantycznych dla zdobycia organicznego bytu, było tak zwane „wychowanie praktyczne“. Wychowanie, którego ideałem i ogólnym dążeniem w sferach ziemiańskich było kształcenie młodzieży do zajmowania określonych praktycznie placówek i stanowisk poza rolę, poza warsztatem pracy ojców. A jeżeli



Dwór w Czyżewie, w Łomżyńskim.

CZYŻÓW,
W SANDOMIERSKIEM.
Własność p. Józefa Targowskiego.



Wjazd do pałacu.



Brama wjazdowa.



Pałac.



Fragment z pałacu.

Pałac od strony parku.



Pałac z frontu.



nawet kształcono młodź ziemiańską do dalszej na tym warsztacie pracy, to przede wszystkim kładziono nacisk na pozyskanie jak najszerszej wiedzy fachowej, na zapewnienie młodszemu pokoleniu trwałych ekonomicznych warunków bytu i rozwoju.

Wychowanie uczuć — pozostało odłogiem.

Nic dziwnego, że w takich warunkach z młodzieży naszej — wyrosli fachowcy. Ale od skostatowania takich właśnie praktycznych uzdolnień życiowych do posądzenia o brak zapału dla ogólnonarodowej pracy, o brak odczucia ogólnonarodowych potrzeb, jeszcze daleko.

Pan Kiniorski pisze wprawdzie: „z radością cofnąłbym te zarzuty, gdyby fakty życia codziennego chciały mi kłam zadać. Ale gdzie są ci, którzy mają być żywym zaprzeczeniem moich pesymistycznych poglądów?„ I stwierdza następnie, że nie cisną się oni tłumnie do pracy w kółkach rolniczych, w kooperatywach, w instytucjach oświatowych, że nie biorą czynnego udziału w tworzeniu podstaw życia społecznego, że głos ich nie rozlega się akcentem młodzieńczej wiary na zebraniach rolniczych, że nie grają im w duszy wysokie ambicje opanowania biegu życia i poświęcenia sił służbie publicznej.

Otóż zarzuty te brzmią bardzo silnie i rzeczowo, a praktyka życia u nas jest taka właśnie, że odpowiedzi rzeczowej z tym samym stopniem siły — dać nie może. Nie chce, tylko nie może. Bo wszędzie młodzi ziemianie pomieszani są w pracy ze starszemi, tak jak pomieszano ich życie i czas. Są i w kółkach rolniczych i w kooperatywach i w związkach hodowlanych i w instytucjach oświatowych. Ale nie tworzą osobnych kadrów, bo tworzyć ich nie potrzeba wcale. Pracują ze starszemi i nie chcą ich spychać, by te miejsca zajmować, bo także tego nie potrzeba. Wszak w pracy rolniczej — zbiorowej, obywatelskiej — panuje zgoda i co do poglądów i co do taktyki i co do praktycznego jej wykonania. Praca ta jak sam p. Kiniorski stwierdza, uczyniła ogromny, doniosły postęp. Wszak młodź stoi w szeregach tej pracy razem ze starszemi. Na przodownictwo dla nich czas sam wyznaczy kolej. Wszak nigdzie od niego nie usuwają się zresztą tam, gdzie tego zachodzi

rzeczywista potrzeba. Iluż to młodych stoi na czele kółek i organizacji fachowych.

Nie śmiałbym o nikim, kto szczerze pracuje powiedzieć, że nie tworzy podstaw życia społecznego. Nieśmiałbym wątpić, że nie grają mu w duszy ambicje opanowania biegu życia i poświęcenia sił służbie publicznej.

Cóż kto może wiedzieć o tem?

Nieśmiałbym także tych ambicji sztucznie podzegać, bo bałbym się zbudzić zwyczaj chodzenia samopas, który przynajmniej w tej sferze ziemiańskiego życia usnął trochę nareszcie...

Młodzież ziemiańska uczyła się i jeszcze uczy. Naukę i jej potrzebę traktuje bardzo poważnie. Przytem pracuje i praca jej stworzyła w znacznej części te poważne rezultaty ekonomicznego stanu naszych gospodarstw,

które tak słusznie p. Kiniorski podkreśla.

Ale młodzież ta w ostatnich czasach przeszła gorzkie doświadczenia, wobec których nie można się dziwić, że woli zamknąć się w pracy, niż słuchać frazesów i wojować frazesem.

Ta młodzież nawet w rocznicę wiosny „obfitej w zdarzenia i ludźmi błyszczącej“, rozumie, że patriotyzm dzisiejszy wyszedł już ze sfery westchnień i okrzyków, a wszedł w sferę cichszego może, ale silniejszego czynu. „Wspomnienia przeżytych kłesk i zawodów“ chowa napewno w sercu, tak samo jak i starsza generacja, ale wie, że one towarzyszyć jej będą zawsze i wszędzie i że nie potrzeba aż specjalnych, rocznicowych okazji, aby o nich pamiętać.

I jeszcze słowo — może trochę gorzkie, ale ostatnie:

Pamiętacie, wy, starsi obywatele kraju, wijatyk gorącej wiary i bezpośrednich na jej ołtarzu ofiar, z jakim w życiowy bój wyprawiali was ojce? Wiem, że pamiętacie, bo takich rzeczy nie zapomina się nigdy...

Ale — czy synom waszym daliście coś takiego na życiową drogę?

Dać nie mogliście — nikt was o to nie wini — ale to pokolenie, o które wam chodzi — takiego krzyżma nie wzięło...

K. L.



Staw w Lubiejowie, w zimie
(fot. amat. p. Justyniana Urbańskiego).



Portret p. M. M.

Łudomir Janowski.



„Maryjka“ z Żabiego (fot. amat. p. Władysława Zapalskiego).

Mam cię ptaszku! Grać mi ładnie!...
Hu! ha!
Jak zapłacę, czapka spadnie
Z ucha!
Na bok ludy, będziez taniec
Chybki,
Że nam, Maryś, nie nadążą
Skrzypki!
Oj, trzeba przyzwać basy,
Na gody, na wywczas!
Hu! ha!

KUJAWIAK.

Mój ty grajku! mój basisto!
Jeszcze tego z raz!
Jak to było w noc gwiazdzistą
Nad rzeczułką, nad srebrzystą —
Kędy-m konie past — oj dana!
Kędy-m konie past!

Ej! „konisie“ wy, „konisie!“
Nuże! grajku, graj!
„Pojedziewa do Marysie,
Zawieziewa koralisie!
Cały kwiecica — zielony!
Cały kwiecica maj!“

Idzie nocka zadumana,
Poprzez pola, las...
Na wygonie... ojże dana!
Stoi Maryś zapłakana!...
Już mi jechać czas — i pora,
Już mi jechać czas!

Ejże, grajku, jeszcze tego!...
Złoty miesiąc wszedł!
Skoczyłem ja na siwego,
Wziąłem skibkę „powszedniego“,
Pojechałem het — przed siebie,
Pojechałem het!

Oj! jechało się, jechało...
Nie do Maryś swej!
Bo mi w drodze coś zagrało
Coś pod duszą się ozwało,
Że choć łzami siej — a musisz!
Że choć łzami siej!

Biegła dusza na to granie!
„Siła“ to już lat!
Bo mi było nad kochanie,
Nad tę nockę, nad zaranie,
Nad ten cały świat — milejsze!
Nad ten cały świat!

Biegła dusza za innemi...
Dość już, skrzypku! stać!
Dawne czasy! Maryś w ziemi...
A ja płacząc rzęsistemi...
Co będziecie grać — kiej bolli!
Po próżnicy grać!?

MAZUR.

Rozśpiewała się skrzypczka
Drucha!
„Uciekła mi przepióreczka...“
Hu! ha!

Żebyś chciała w sercu ino
Czytać,

Dałabyś się wnet, ptaszyno,
Schwytać!

Oj! schwytać cię ptaszyno!
Oj! objąć cię dziewczynno!

Uwiłbym ci takie gniazdko
Uwił,

Żeby do cię miesiąc z gwiazdką
Mówił,

Żeby słonko nocką lśniło
Ciemną,

A twe serce zawdy biło
Ze mną!

Oj! biło zawdy ze mną!
Oj! choćby nocką ciemną!

Powiódłbym cię w takie strony
Raju,

Kędy zorzą świat złocony
W maju!

Gdzie się miodu rzeka cała
Toczy.

Byleś sobie spojrzeć dała
W oczy!

Oj! rzeka miodu toczy!
Oj! spojrzeć dała w oczy!

Małą chwilkę spojrzę ino
Krótką,

Potem — swaty szlę, dziewczynno,
Z wódką!

Pani matce się w kolano
Skłonię,

Niech ptaszynę ukochaną
Zgonię!

Oj! do kolan się skłonię!
Oj! niech dziewczynę zgonię!

KRAKOWIAK.

...Teraz dla mnie skrzypki grajcie!
A wy, ludy, posłuchajcie!
Będzie śpiewka, taniec taki!
Przy nim inne: niuch tabaki!
Jeno na bok! z drogi!
Komu spokój błogi!
Bo niech brzęknę pasem,
W kąt mazur z wyrwasem!

Nie cudeńka „wej“ Mazury...
Ani dołka, ani góry!
Zamiast „grontu“ — same piachy,
Zamiast błonia — wiśne łachy,
Kępy a wiklina
Cała ozimina!
Ziemniaki, kapustę
Baba zbierze w chustę!

U nas w polu snop na snopie,
A po wioskach chłop przy chłopie;
Łąką wąż się nie przegniecie,
A co dziewczka — to w gorsecie!
Odziewek szlachecki,
Nie spencer „miemiecki“
Bieluśkie sukmany,
Pasik nabijany!

W mojej stronie niebo niebem,
W mojej stronie chlebuś chlebem,
W mojej stronie krew nie woda!
W piekło za tym, za kim zgoda!
Ale zahacz krzynę,
Ottes za czupr,nę!
Choćbyś żebrał, prosił —
Będiesz guza nosił!

Nie cudeńka! Mazur ślepy!
Miesiąc czołga u polepy!
U nas chłopak się narodzi,
Do dziewczyny w trzy dni chodzi.
Już krzesze w cholewki,
Jużby śpiewał śpiewki!
Jeszcze w nóżkach słaby,
Już wie, jak do baby!

Bo też dziewczka w mojej stronie —
Kieby tęcza na wygonie!
Chociaż spódnic trzy przywdzieje,
Chociaż zuru garniec wleje,
Zawdy w sotiż cienka,
Smukła jak sosienka!
Od góry strzełista,
Z dołu przysadzista!

Warkocz u niej jak pozłota!
W ślepkach wrzątek i ochota!
Kiej od pieca od niej grzeje,
Że aż serce ci topnieje ..
A pojdziesz za żonę,
Masz wszystko zładzone:
Warza, opierunek —
Kobiocy frasunek!

A tu u was na Mazurach:
Baba w stajni, chłop przy kurach;
Baba szkapą na targ jedzie,
A chłop m. śli o obiedzie.
Baba za bat bierze,
A chłop szmaty pierze!
Wszystko — rzeczcież sami —
Do góry nogami!

Ej! gadajta „co ta“ chcecie!
Niema lepszej strony w świecie!
Ani ludzi, ani wioski,
Ani tańca — nad krakowski!
Gdzie magierka z pió.em,
W kąt wyrwas z mazurem!
Przed kowanym pasem
Zmykaj z obertasem!

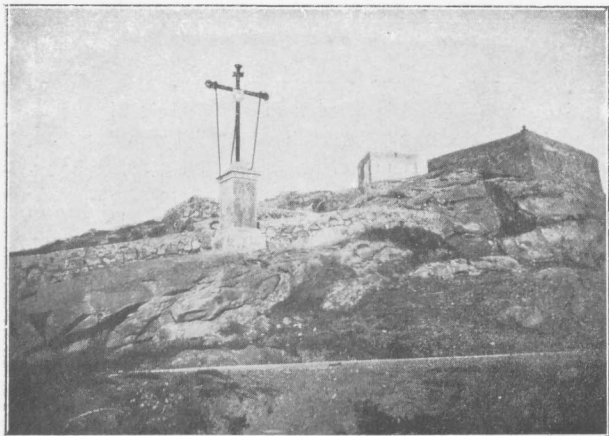
K. LASKOWSKI.



Dziewczyny z okolic Krakowa.



Młoda para z okolic Krakowa.



Krzyż przy drodze w Kochanowiczach, w Witebszczyźnie —
(fot. amat. hr. Marji Chrapowickiej).

EDWARD SŁOŃSKI.

OSTATNIA PIĘDŹ.

Wieczorny pociąg na małej stacji kolejowej, odległej o milę tylko od rodzinnego majątku Andrzeja Korbuta, zatrzymywał się na pół minuty o godzinie ósmej wieczorem.

Był koniec września i ciemno już było zupełnie, kiedy Andrzej, zmęczony trwającą prawie całą dobę podróżą, znalazł się na peronie oświetlonym trzema kopąciami, naftowymi latarniami. Posługacz stacyjny w urzędowej czapce przeraźliwie zadzwonił mu nad uchem, lokomotywa zajęczała żałośnie i pociąg wolno ruszył dalej na północ.

Wieczór był ciepły. Gdzieś w dole za peronem, za niską łąką, mrugały w chatach ognie. Wyiskrzzone niebo wróżyło pogodę na jutro.

Andrzej zapiął palto i z małą walizką w rękę, niespostrzeżony przez nikogo, pod zwieszającymi się nisko gałęziami kasztanów, przeszedł na drugą stronę stacji.

— Czy są konie z Norów? — zapytał po białorusku stojącego pod latarnią chłopaka.

Chłopak spojrzał na niego głupio.

— Z Norów — powtórzył Andrzej.

— Jest z Norów — zawołał z mroku czyjś chrapliwy głos i jakaś długa postać zamajaczyła w niepewnym świetle naftowej latarni.

— To ty, Aleksiej? — zapytał Andrzej po polsku.

— Ja, panicz — odrzekł zapytany i schylił się do ręki Andrzeja, którą ten mu cofnął.

— Cóż znowu, Aleksieju! jak można — bronił się Andrzej; nie lubił, gdy go całowano po rękach.

— Już chyba cztery roki nie był panicz w Norach — mówił Aleksy, prowadząc Andrzeja w mrok do bryczki.

— Masz rację, to już całe cztery lata.

Andrzej został niemile dotknięty, gdy zamiast wygodnego powozu, który zwykle przysyłał po niego Karol, rozpoznał w mroku starą, trzęsącą bryczkę zaprzęzoną w jednego konia.

— Cóż to, czy droga taka zła, czy konie wam pochorowały, żeś tą dryndulką zajechał po mnie?

— Żebyż to droga, albo konie paniczu — odrzekł Aleksy, sadowiąc się na małym koziołku i spuszczać nogi na ohłoble. — Droga dobra wiadomo jesień piękna i deszczów nie było, a konie... konie i powóz pan nasz sprzedał jeszcze na św. Jana.

— Sprzedał... dlaczego? po co? — myślał Andrzej, lokując się za Aleksym na niewygodnym siedzeniu. Nogi miał skurczone i kolanami dotykał pleców Aleksego. Bryczka potoczyła się wolno, dzwoniąc rozbitymi resorami i przechylając się co chwila na wyboistej i nierównej drodze.

Jechali zrazu pod zwieszającymi się nisko gałęziami kasztanów, potem skręcili na prawo koło budki strażnika i wjechali na niską łąkę, na której stała się biała mgła i czuć było zapach wody.

Aleksy, milcząc, poganiał konia, bryczka trzęsła się i dzwoniła.

— Sprzedał konie... powóz... — myślał Andrzej, wpatrując się w wyłaniające się tu i owdzie z mroku kępy drzew, za którymi leżała mała, licha wioszczyna Nadolną zwana. Za nią był cmentarz z kilku placzącymi brzożami i wysokim krzyżem pośrodku.



Pojenie koni po kermaszu w Jeziorosach, w Kowieńskim —
(fot. amat. hr. Jana Przedzieckiego).



Dwór w Łozowcach, w Nowogródzkim, własność p. Bronisława Dawidowskiego (fot. amat. p. Bolesława Danieyki z Korošny).

Andrzej myślą wyprzedzał powóz, biegł koło cmentarza, przez las i dworskie łąki aż do Nor.

Dlaczego Karol sprzedawał powóz i konie? Czyżby interesy majątkowe stały tak źle? Nic nie pisał o tem do niego. Coprawda obaj bracia nie lubili pisać listów. Andrzej był tu przed czterema laty i w rok potem otrzymał od Karola lakoniczny list, donoszący mu o jego rozstaniu z żoną. Było tam jeszcze kilka słów o urodzajach i o pogodzie. Po za tem nic więcej. Ani jednej skargi, ani jednego przekleństwa! Zdawało się, że go nic nie kosztowało rozstanie z żoną.

Na list Karola odpowiedział listem. Przez wrodzone poczucie delikatności nie poruszał drażliwego tematu — pisał o swoich planach na przyszłość, o Warszawie. Na list ten już nie otrzymał odpowiedzi.

Powoli jednak zaczęły do niego dochodzić różne wieści o bracie. Od dalekiego kuzyna dowiedział się, że bratowa jego jest w Warszawie i że rzuciła Karola dla inżyniera, pracującego podówczas przy budowie nowej linii kolejowej, przecinającej o wiorstę od dworu las, należący do Nor. Dowiedział się również, że Karol popadł w jakąś dziwną melancholię i że jego interesy majątkowe, dzięki nieurodzajom i brakowi rąk roboczych, znacznie się pogorszyły.

W rok potem napisał do Karola obszerny list

o Stefanie. Stefan był ich bratem najmłodszym. Kończył właśnie medycynę w Warszawie, gdy go naraz aresztowano i osadzono w cytadeli. W cytadeli przesiedział prawie cały rok, poczem wyrokiem sądu wojennego został skazany na cztery lata katongi.

Wieść ta, jak piorun z jasnego nieba, spadła na Andrzeja. Nie wiedział, co począć, był zupełnie bezsilny wobec wyroku sądu i zapewnień adwokata, że nic nie wskóra. Za miesiąc miał się pożegnać ze Stefanem na cztery lata, a może i na zawsze. Myśl ta przejmowała go zgrozą.

Napisał o tem wszystkiemu do Karola, prosił go, żeby przyjechał pożegnać się ze Stefanem, ale Karol nie odpisał ani słowa i nie przyjechał.

Od tego czasu czuł żal do niego.

Aż wreszcie, przed paru dniami, otrzymał od Karola telegram, wzywający go do Nor w sprawach majątkowych. Nie mógł zrozumieć jakie to były sprawy, wymagające jego obecności w Norach, część bowiem swoją już przed kilku laty otrzymał był od Karola w gotowiźnie, uzyskał jednak urlop i wyruszył w drogę.

W drodze gubił się w domysłach, czego od niego może chcieć Karol i teraz, siedząc na niewygodnej i trzęsącej bryczce, nie śmiał o to pytać Aleksego. Dowiedział się jedynie na wstępie, że powóz i konie zostały jeszcze na św. Jana sprzedane.

Czyżby interesy Karola były w tak oplakany m stanie?

Nie chciał nawet myśleć o tem.

Kiedy przejeżdżali przez Nadolną, odezwał się Aleksy:

— A ot, panicz, u nas tu czarny tyfus panował na wiosnę. Prawie połowa wioski wymarła. I w Sawejkach był i w Lipowej. Teraz ot głód będzie, bo ludzi do pracy brakuje i z pola nie wszędzie zebrano.

— A w Norach? — zagadnął Andrzej.

— U naszego pana wiadomo, że zebrano, ale i naszemu panu ciężko — ludzi zamało i pieniędzy czasem dostać nie można. Posyłali my w tym roku aż do Oświej po ludzi, ale i tam nie ma. Strach, jak ciężko było.

Obrócił się do Andrzeja twarzą i mówił ciszej:

— Niech panicza nie rozgniewam, ale z naszym panem niedobrze, a wszystko od tamtego czasu. Machnął ręką i zaciął konia.

Wjechali w niskie zarośla, które w tem miejscu na przestrzeni wiorsty ciągnęły się z obu stron drogi. Za nimi były już łąki, należące do Nor i kawał dworskiego pola i sam dwór ocieniony lipami, stary, z dziadów i pradziadów należący do Korbutów.

W miarę, jak się zbliżali do niego, jęły się budzić w Andrzeju wspomnienia dalekich, zapomnianych lat, wydarzeń, znajomych twarzy i głosów. Do tych zarośli niskich przychodzili ze Stefanem zbierać orzechy, na tych łąkach, na wiosnę wodą zalanych, na skleconej naprędce z rozebranego mostu tratwie, odpływali w podróż daleką, za morze... Nieraz biegli po księżycu pod tę brzozę płaczącą i śpiewali chórem jakieś naiwne, dzieciinne piosenki... Dziś Karol boryka się z troskami, a Stefan w katordze...

Bryczka wjechała między zabudowania dworskie i po chwili zadzwoniła przeraźliwie na wybruko-

wanym podejździe przed gankiem. W smudze światła padającej z otwartych naoścież drzwi stał na ganku Karol.

Andrzej wyskoczył z bryczki i po chwili bracia padli sobie w objęcia.

Byli niepodobni do siebie. Karol wyglądał, jak starzec, jakkolwiek był zaledwie o kilka lat starszym od Andrzeja. Coś go przedwcześnie pochyliło do ziemi i włosy osypało szronem i twarz poorano zmarszczkami. Oddech miał krótki i ręce mu się trzęsły, a kiedy patrzył, to oczy mu się zamyślały i zachodziły mgłą, z poza której nie widziały nic.

Prócz tej pozornej różnicy wieku na każdym z nich środowisko, w którym żyli, odmienne wycisnęło piętno.

Wysmukłą postać Andrzeja okrywał modny, nieco przydługi paltot, na płowej czuprynie leżał wygodnie czarny, mały melonik. Wszystko było skrojone na miarę i dopasowane. Karol przy nim wyglądał dziwnie niezgrabnie, po wiejsku. Był ubrany w nieco za kusa, szarą, wytartą na łokciach kurtkę, z pod której na piersiach wyglądała nocna koszula. Na nogach miał buty ciężkie z cholewami, wysmarowane szmalcem i zabłocone.

Przez krótką chwilę stali, patrząc na siebie bez słowa. Jeszcze czuli do siebie jakąś daleką urazę bez treści.

— Myślałem, że nie przyjedziesz, że nie będziesz mógł przyjechać...

— Teraz na jesieni o urlop łatwiej, niż latem.

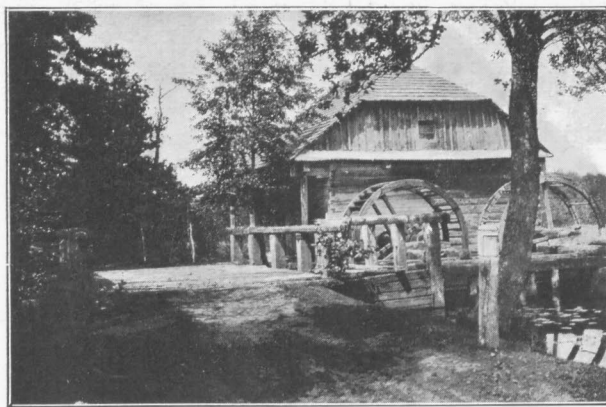
Weszli w półmrok nieoświetlonej sieni, w której pod ścianami stały dwa olbrzymie kufry, dwie okute i pomalowane na zielono skrzynie, w których przed laty matka przechowywała poduszki i pierzyny dla gości. Stały na tem samym miejscu, jak ten stary dom, do

którego po tylu latach niebytności wchodził Andrzej.

Z sieni przeszli do jadalnego pokoju. Pokój był niski, ale obszerny. Pełno w nim było starych gratów, niezgrabnych i ciężkich. Na środku stał



Ozierce, w Mohylowszczyźnie, po zachodzie słońca
(fot. amat. p. J. Moczulskiego).



Młyn w lesie. Czerniszczce, w Pińszczyźnie (fot. amat. p. A. Ordzy).

jesionowy stół, na lewo od wejścia takież kredens z drzewczkami poczerniałymi od rąk i z poobłamywanymi gzymsami. Pod weneckim oknem stało biurko ojca zniszczone, powalane atramentem i zarzucone jakimiś szpargałami i notatkami.

Wszędzie znać było męski nieład i zaniedbanie.

Andrzeja ogarnęło na widok tych sprzętów jakieś dziwne wzruszenie. Tu rosło jego dzieciństwo, tu rozkwitała jego młodość — znał każdą plamę na biurku, każdą fładrę na szerokim, jesionowym stole. Wszystko było takie same, tylko wydało mu się,

Na końcu ciemnego korytarza skrzypnęły kuchenne drzwi i po chwili ukazała się na progu bosa, tęga dziewczyna, niosąca przed sobą samowar.

Miała spuszczone oczy i nie patrzyła na Andrzeja.

— Zasyp herbatę i postaw na stole wódkę.

— Ja nie piję — zaprotestował Andrzej.

— To nic, napiję się sam.

Oczy Karola zamyśliły się i zaszły mgłą.

Nastula ustawiła samowar, wydobyla z kredensu wódkę, kiełbasę i bułki i wyszła z pokoju.



„Na puchach zimowych“ (fot. amat. p. Bolesława Danięki z Korošny).

że zmalowało, jak gdyby wrosło w ziemię wraz z Karolem i wraz z nim postarzało.

Spojrzeni sobie w oczy przy świetle wiszącej nad stołem lampy.

— Wezwałeś mnie... co się stało? — zapytał Andrzej.

— Nic się nie stało.

— Przecie telegrafowałeś?

— A tak... tylko, widzisz, opowiem ci wszystko po kolei, ale za chwilę. Naprzód napijemy się herbaty.

Otworzył drzwi na korytarz i krzyknął donośnie:

— Samowar dawaj, Nastula!

Zostali sami i chwilę siedzieli, milcząc. Szum gotującej się w samowarze wody zagłuszył sapanie Karola.

— Ty nie pijesz, naprawdę? — zapytał Karol.

— Nie piję.

— I ja nie piję... tylko czasem muszę wypić. I wiem, że to szkodzi, ale muszę...

Sięgnął po butelkę.

— Wczoraj ze smutku, a dziś z radości...

Andrzej patrzył na niego smutnie. I smutki i radości tonęły na dnie kieliszka. Zaczynał rozumieć jego przedwczesną starość.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NASZE DWORY.



Walewice, w Kaliskiem, własność p. St. Grabińskiego.



Burbiszki, w Kowieńskiem, (z teki p. L. Bojanowskiej).]

NASZE DWORY.



Biżerewicze, w Pińszczyźnie, własność p. Stanisława Ordy.



Wojtkuszki, w Kowieńskim, własność hr. Kossakowskiej.



Podolanka (z teki p. Narkiewicz-Jodko).

MINIATURA.

Miniatura na słońowej kości
Z wdziękiem wielkim dawno malowana,
Na niej — piękna dama pudrowana:
Uśmiech słodki na licach jej gości.

Oczy jasne, jak nieba lazury,
W pysznym łuku brew czarna wygięta,
Pierś cudowna, szczerze odsłonięta,
A na szyi — białych pereł sznury...

Kocham się w tej damie z miniatury
Jakiemś echem dalekiej miłości,
Znam jej twarzy subtelne kontury,
Malowane na słońowej kości...

Za markizę stylową przebrana,
Wdzięk ma polskiej, uroczej szlachcianki — —
Dama młoda, pięknie malowana,
Jak stworzona do roli kochanki...

Może była ozdobą na dworze,
Dziw czyniła „pod Blachą“, w Łazienkach?
I król przed nią przyklękał w pokorze,
Zakochany w niezwykłych jej wdziękach??

Może jedna to z gwiazd swej epoki,
Którą dziejów zgasiła wichura,
Blask jej w nocy staczając pomroki?
O tem — milczy piękna miniatura...

Wdzięczna, mała, na słońowej kości,
Punktowana przez mistrza-malarza,
Pełną życia, kraszy i miłości
Młodą damę zalotną odtwarza...

ZDZISŁAW DĘBICKI.

NAPOLEON JAKO JEŹDZIEC.

(Według dzieła Massona).

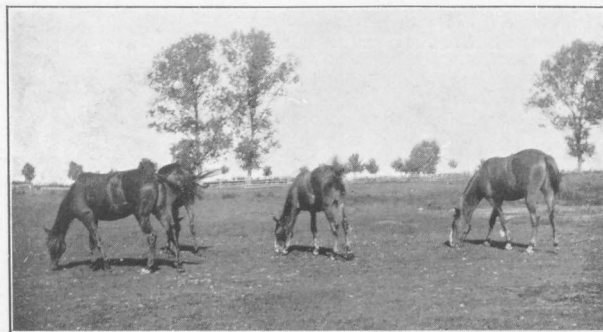
(Dokończenie)

Konie Napoleona podlegać więc musiały niezwykłej tradycją uświęconej tresurze, zgodnej z zasadami jazdy, lecz tresurze, która odpowiadała najlepiej jego sposobowi jeźdźstwa; musiały przywyknąć do cugli bądź to zbyt wolno puszczo-nych, bądź też nadmiernie ściągniętych, do nóg jeźdźca, bądź to lekko opartych o strzemiona, bądź to nerwowo ściskających boki końskie, lecz nie obejmujących ich nigdy, ze stopą zwróconą na zewnątrz dla tej prostej przyczyny, że nogi były krótkie a kolana okrągłe. Gdzie szukać koni takich — łączących niezwykłą rączność, niezwykłą pewność chodów z zupełną obojętnością na działanie cugli i ostróg?

Gdzie szukać ich?

Wszędzie.

Cesarz używał pod wierzch koni wszelkiej rasy, wszelkiej maści, wszelkiej miary. Miały one jedną tylko wspólną cechę: były to bez wyjątku same ogiery. Jeździł na arabszykach, przywiezionych przez siebie z Egiptu, albo też ofiarowanych mu przez sułtana, przez beja Algieru i cesarza marokańskiego; za kupnem koni arabskich posyłał masztalerzy do Rosji, na Wołoszczyznę, nawet do północnej Afryki. W prywatnych stajniach jego dużo było koni rosyjskich, przysłanych mu w prezencie przez cara Aleksandra lub też kupionych w Rosji za pośrednictwem masztalerza Laravine; były również konie niemieckie, dar ks. Eugeniusza



Stadnina (fot. amat. p. Z. Ślaskiej).



Para jukerów hr. Jezierskiego z Dębna,
w W. Ks. Poznańskim.



Spacer saniami w Dźygówce na Podolu
(z teki p. Jaroszyńskiego).

i króla bawarskiego; lecz Cesarz nie lubił ich, twierdząc — że są zbyt wielkie, zbyt ciężkie, skłonne nadto do zawrotów. Jeden z tych koni, ofiarowany przez króla bawarskiego w r. 1809, zwinął się pod nim bez żadnej widocznej przyczyny, pewnego wieczoru, gdy Cesarz wracał z Wiednia do Schönbrun; upadek był tak gwałtowny, że Napoleon stracił przytomność. I prześliczny ten rumak, wypróbowany przecież uprzednio przez hr. de Canisy, przewracał się jeszcze kilkakrotnie w czasie jazdy.

Z koni niemieckich Cesarz oddawał pierwszeństwo koniom z dzikich stadnin (Haras Sauvage), nie mających cech rasy niemieckiej a zbliżonych do koni arabskich, z których się wywodzą. Wiadomo, że stadnina ta mieściła się w ks. Bergu, w olbrzymich lasach, w których kłacz żyły w stanie dzikim. W pewnych porach roku, wpuszczano do lasu rasowych ogierów a ze skrzyżowania tego rodzaju się konie niezwykłej siły, piękności a zwłaszcza wytrzymałości, szczególnie odpowiadające potrzebom kawalerji.

Cesarz posiadał również konie limuzyjskie — jak np. „Embelli“, który stał się przyczyną niejednego kalectwa w ujeżdżalni wersalskiej a dosiadał przez Napoleona między r. 1806 — 1814, usunięty został dopiero w r. 1827 — konie hiszpańskie, konie normandzkie, nawet konie z Ameryki południowej.

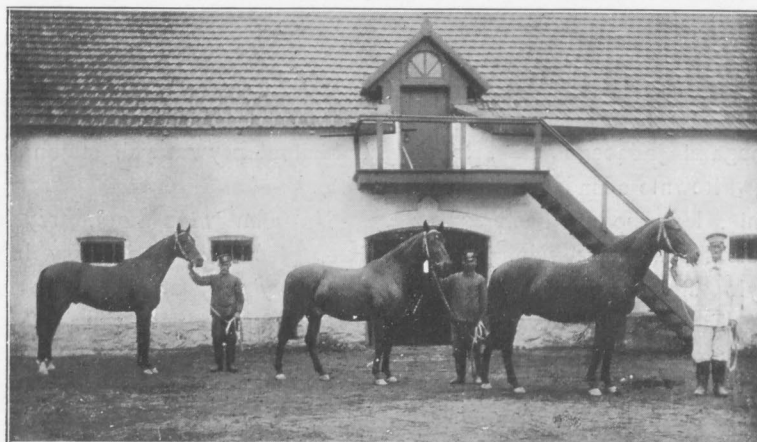
Przytoczony poniżej przykład powinien dać czytelnikowi przybli-

żone pojęcie o pochodzeniu i maści koni cesarskich. Wyjeżdżając na wyspę Elbę, Napoleon zabrał z sobą ośm koni wierzchowych, wybranych z pośród tych, na których jeździł zwykle, lecz nie wyróżniających się ani pięknnością, ani pochodzeniem lub maścią. Wyliczenie tych koni i krótki ich życiorys da nam jasne pojęcie o składzie stajen cesarskich.

W pierwszym rzędzie idzie „Wagram“, koń arabski, małej miary, siwej maści, który nosił Cesarza podczas bitwy pod Wagram, odbył z nim kampanię austrjacką, rosyjską, saksońską, francuską, był pod Waterloo. Pana swego znał tak dobrze, że kiedy w Porto-Ferrajo Cesarz zwiadał stajnie — co zdarzało się dwa lub trzy razy tygodniowo — rżał i parskał póty, póki Napoleon nie dał mu kawałka cukru, nie pogłaskał go i nie ucałował.

„Tauris“, koń perski, siwy-jabłkowity z odcieniem srebrzystym, o białej grzywie i długim białym ogonie; kupiony w Rosji 31-go grudnia 1809 roku przez mastalera Laravine w cenie 1,260 franków — nosił Cesarza we wszystkich bitwach kampanii rosyjskiej, w dniu wkroczenia do Moskwy, w dniu

przejścia Berezyny, podczas kampanji saskiej i francuskiej, podczas podróży z zatoki Juan do Paryża, w ciągu Stu dni i podczas ostatniej kampanii 1815 roku. Pod Waterloo, Cesarz zsiadł z niego wówczas dopiero, gdy odnalazł swój powóz. W Malmaison, powierzył go pieczy jednego ze



„Mahomet“ „Emir“ „Sultan“.
Konie remontowe własnego chowu w Konieczpolu, pp. H. i L. Sobańskich.

swoich masztalerzy, p. de Montaran, który troskliwie opiekował się nim i codziennie kazał go przeprowadzać dokoła kolumny Wielkiej Armii.

Trzeci z kolei „Roitelet“, ognisty kasztan dużej miary, o długim rozwianym ogonie, z angielskiego ogiera i klaczy limuzyjskiej, darowany został Cesarzowi przez ks. Eugeniusza. W roku 1809, podczas rewii, ponosił Cesarza w szeregi pieszych grenadierów i wielu z nich poturbował. Od tej pory Napoleon nie chciał na nim jeździć. Dopiero w czasie odwrotu w r. 1812, w pobliżu Smoleńska, gdy na skutek gołoledzi żaden koń nie mógł utrzymać się na nogach, przyprowadzono mu świeżo podkutego „Roitelet’a“; Cesarz dosiadł go, żadnej nie czyniąc uwagi, a że koń nie potknął się ani razu, pogodził się z nim zupełnie. Pod Lützen, w chwili, kiedy lusterowała szeregi armii swojej, przelatująca kula armatnia o mało nie zabiła konia i jeźdźca; przerażony świstem kuli „Roitelet“ — przysiadł na zadach, a osmalona sierść nigdy mu już nie odrosła. Pod Arcis-sur-Aube, granat

pełną z hukiem pod nogami jadącego na „Roitelet’cie“ Cesarza: koń gwałtownie odsadził się w bok, Cesarz zleciał na ziemię, lecz podniósł się zaraz i skoczył ponownie na siodło, mówiąc: „No, jeszcze i tym razem skończyło się tylko na strachu“. Odtąd, zwiedzając na Elbie stajnię swoją, nie omieszkał nigdy obejrzeć osmalonej sierści konia, a głaszcząc go — mawiał nieraz: „Udało nam się, mój stary“.

„Intendent“ — przewany przez starych wiarusów „Coco“ — był to koń normandzki, dużej miary,

maści biało-siwawej, o długiej sierści — używany był zwykle w czasie rewii lub uroczystych wjazdów do miast, a w roku 1815 mieniał się kolejno z „Coquet’em“, koniem tej samej miary i tej samej maści.

W roku 1814, znajdujemy jeszcze w stajniach cesarskich konia, który brał ongiś udział w szalonej jeździe z Valladolid do Burgos: jest to „Monte-

video“, piękny i silny koń kary, rodem z Ameryki południowej. Cesarz kupował chętnie konie hiszpańskie. Dwa konie: „Kordowa“, andaluzyjski gniadosz, nader łagodny, i „Gonzalve“, złoty kasztan, dużej miary, kolejno chodziły pod Cesarzem w licznych kampaniach, począwszy od roku 1808. Pod Brienne, kula przecięła „Gonzalve’owi“ lejce koło pyska; chwilę później, druga kula zdruzgotała ramię masztalerza Jardin starszego. Wreszcie „Emir“, koń turecki, złoty kasztan, z czarną pręgą grzbietową, z czarną grzywą, ogonemipończoszkami, kupiony w Bukareszcie przez masztalerza Laravine, uzupeł-



Konie remontowe stada Koniępcolskiego pp. H. i L. Sobańskich.

niał skład prywatnych stajen cesarskich na wyspie Elbie.

Na ośm więc koni, trzy tylko były białe lub siwe, pięć było kasztanów lub gniadoszów. Trzy tylko były rasy arabskiej lub tureckiej.

Od samego początku jest to stały mniej więcej stosunek. Cena zaś kupna waha się między 735 a 1,400 fr. Przeciętna cena wynosi 1,012 franków. Cesarz myślał również o kupnie koni bretońskich po straszliwej przeprawie przez łańcuch gór Guedarrama, w ciągu której to przeprawy trzykrotnie

zmieniać musiał konia, podczas kiedy generał Lariboisiere odbył całą drogę na małym niezmiernym koniku bretońskim. „Caulaincourt musi kupić mi kilka takich koni. Są to najwytrzymalsze stworzenia, jakie kiedykolwiek widziałem” — rzekł wówczas do generała. Zaniechał jednak tego zamiaru, bo były to wałachy, a Cesarz jeździł tylko na ogierach.

Fakt ten, że Cesarz zarówno w czasie marszu,

jak w czasie bitwy zmieniał dwa — trzy — i czterokrotnie konia, obala kunsztowną hipotezę niektórych pisarzy, między innymi F. Lawley'a, hipotezę dotyczącą konia rzekomo stałe przez Napoleona dosiadanego we wszystkich bitwach. Wychodząc z założenia, że Cesarz miał ulubionego wierzchowca, który był dla niego tem, czem był Bucefał dla Aleksandra, rozwodzi się szeroko o „Ali'm“, „Marengo'u“ i „Austerlitz'u“, zwanym w pierw „Cyrusem“. Te trzy konie figurowały istotnie w spisie stajen cesarskich, przywiązane były do osoby Jego Ces. Mości, t. zn. że Napoleon jeździł na nich, lecz bynajmniej ich nie

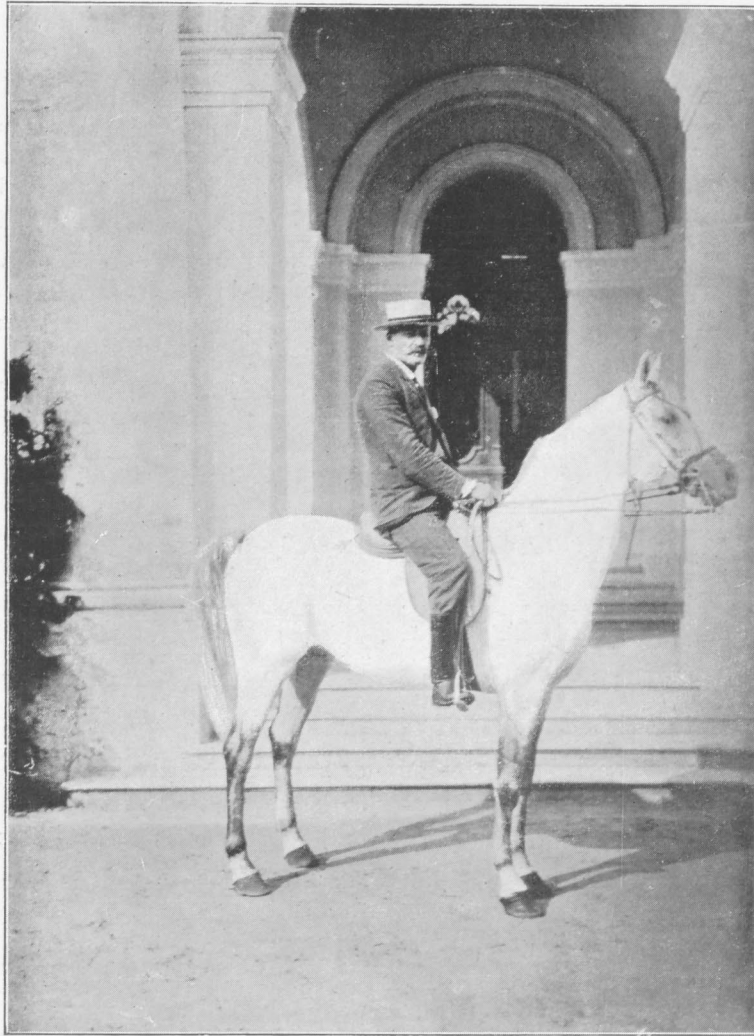
wyróżniał i wbrew temu co mówią o nim — że takiego lub innego konia w takich tylko lub innych dosiadał okolicznościach — żadnych w tym kierunku nie miał przesądów. Rozwiązanie zagadki znajdujemy w sposobie, w jaki zorganizowane były stajnie cesarskie.

Począwszy od r. XI-go, wierzchowa stajnia pierwszego Konsula składała się z sześciu brygad, po dziesięć koni każda — i z dwunastu koni zapasowych. W każdej brygadzie, dwa konie przeznaczone były do osobistego użytku Konsula i tylko

pod nim chodziły; ośm pozostałych — do użytku masztalerza, adjutantów, mameluka i t. p. Później liczba brygad wzrosła do dziesięciu, a liczba koni w każdej poszczególnej brygadzie — do trzynastu. Na tych trzynastu koni, trzy — dwa konie wojskowe i jeden paradjer — przeznaczone były dla Cesarza; pozostałych dziesięć — dla wielkiego koniuszego, dla koniuszego dyżurnego, dla paza, chi-

rurga, masztalerza, mameluka i stajennych. Koni nie dawano ani adjutantom, ani oficerom służbowym, a wielki koniuszy dworu tak dalece trzymał się przepisów, że kiedy podczas kampanii saskiej, w ciągu bitwy zabito pod Ney'em jego własne konie, Cesarz dwukrotnie powtórzyć musiał ks. Vicenzy rozkaz wydania marszałkowi konia z brygady cesarskiej.

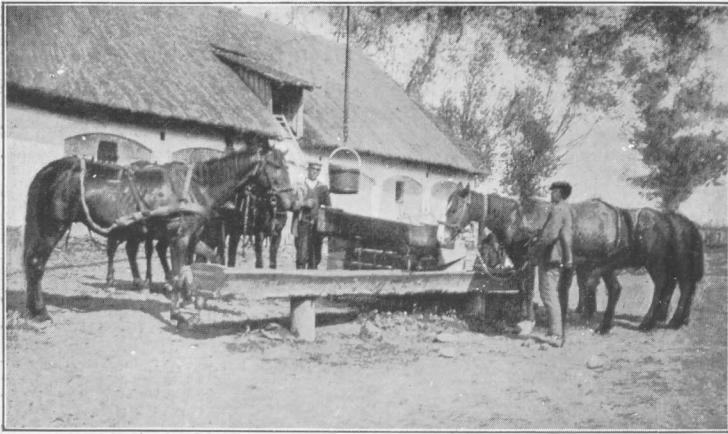
Tym sposobem, w jednej np. kampanii r. 1812 Cesarz miał do dyspozycji trzydzieści koni i jeździł na nich kolejno. Tem również tłumaczy się taka szalona jazda, jak z Valladolid do Burgos: znaczna przestrzeń, przebyta w przeciągu kilku godzin, dzięki



Ogier czystej krwi arab ze stada państwowego na Bukowinie
dzisiaj własność pp. H. i L. Sobańskich.

rozstawnym koniom. Sześć brygad rozstawiono na przestrzeni mil dwudziestu, na każdego więc poszczególnego konia wypadało tylko trzy do czterech mil.

Jeśli dodamy, że skład stajen zmieniany był całkowicie trzy razy, otrzymamy sumę przeszło stu koni, których Cesarz używał pod wierzch, koni wojskowych lub też paradjerów, niemożliwym więc jest ustalenie dokładnego spisu. Co się tyczy koni zaprzęgowych oraz koni, przeznaczonych dla koniuszych i masztalerzy, można rozróżnić przynajmniej, pod jaką datą były kupione, gdyż — w stajniach



Pojenie koni (fot. amat. p. Arciszewskiego).

Jego Ces. Mości — panował zwyczaj nadawania koniom imienia, którego litera początkowa odpowiadała liczebnie dacie kupna: wszystkie np. konie kupione w r. 1809 noszą imiona rozpoczynające się od litery H (huit), ósmej litery alfabetu — gdyż rok 1801 był datą organizacji stajen. Lecz nie trzymano się tej metody w stosunku do koni wierzchowych Cesarza i zdaje się, że nadawane im imiona związane były przeważnie z pochodzeniem i rasą koni, jak np. „Kurd“, „Labrador“, „Cyrus“ — zwany później „Austerlitz'em“, ponieważ nosił Cesarza w czasie tej bitwy — „Cyd“, „Kordowa“, „Saxa“, „Epikurejczyk“, „Sagonte“, „Intendent“, „l'Embelli“, „Gassner“, „Bréant“, „Würtzburg“, „Wezyr“, „Gisors“, „Łowka“, „Harbert“, „Neron“, „Wagram“, „Calvados“, „Tamerlan“, „Hippogryf“ i t. d.

Uprząż nieodłączna jest — rzecz prosta — od konia. A i pod tym względem należy również zachować możliwie największą ostrożność, chcąc twierdzić — że takie lub inne siodło służyło Napoleonowi w takich lub innych okolicznościach. Przy zmianie wierzchowca, koń którego przyprowadzono, był już oczywiście osiodłany i nie mogło być mowy o przekładaniu siodła z jednego konia na drugiego.

Istniały conajmniej trzy różnorodne fasony tych sioseł. Zwykłe siodła, nader liczne — skoro budżet r. XIII-go obejmuje obstalunek stu ośmiu sioseł — są z czerwonego aksamitu, o małym wnęk, opatrzone olstrami, popręgiem, podogoniem, strzemionami, napierśnikiem, uzdeczką i podpinkiem, wszystko złotem i srebrem zdobione, z pokrowcem i nausznikami o podwójnym złotym galonie. Siodła te, obliczane na 731 franków za sztukę, kosztowały w r. 1809 przeciętnie 819 fr. 10 cent. Przeznaczone były do codziennego użytku, jak np. siodło, będące dziś własnością Jego Ces. Wys. ks. Wiktora Napoleona. Lecz Cesarz piękniejszych również używał sioseł. Znajdujemy np. w rachunkach siodło z czerwonego aksamitu, którego pokrowiec i nauszniki

okryte są złotą torsadą i podwójnym galonem, czaprak haftowany z cyfrą i orłami cesarskimi, uzda i napierśnik — tkane srebrem, ciatka złota, strzemiona złożone, munsztuk także złożony, rzeźbionym ozdobiony orłem. Siodło to kosztowało 4,434 fr. 50 cent.

Albo też siodło, na którym sam haft — złożony z liści dębu i wawrzynu, okalających wojskowe trofea — kosztował 8,500 franków; lub inne jeszcze kompletne siodło, kupione w r. XIII, w cenie 16,400 franków, podczas gdy najpiękniejsze siodło Pierwszego Konsula kosztowało tylko 2,633 fr.

W olstrach siodła Napoleon miał zawsze pod ręką parę pistoletów, z których niekiedy strzelał, dla rozrywki po drodze, do wron, a których utrzymywanie powierzone było staraniom nieodstępnego Roustan'a.

W dniu wielkiej rewii w Wesel, podczas drugiej podróży Napoleona do Hollandji, koń Cesarza ponosił, przestraszony natarczywym ujadaniem psa. Napoleon wyciąga pistolet z olstr, strzela do psa, chybia go, a rozszluszczony ciska weń bronią. Prócz dwóch wypadków: kampanii rosyjskiej i bitwy pod Brienne, nie widzimy, aby używał kiedykolwiek pistoletów przeciwko nieprzyjacielowi. Chętniej uciekał się do szabli.

Należałoby sprawdzić, czy i o ile wiarogodnym jest opowiadanie O'Meara — jakoby ubito lub zraniono pod Cesarzem ośmnaście koni w ciągu jego kariery wojskowej. Odnośne dokumenty nadzwyczaj są niekompletne i mgliste: pod Arcole, istotnie ubito pod nim konia, który w konwulsjach agonii rzucił Cesarza w bagno i o mało, że o śmierć nie przypawił. Jest to jednak jedyny prawie wypadek autentyczny, ogólnie znany. Przed wojskiem ukrywano oczywiście starannie niebezpieczeństwa, na jakie Cesarz był narażony: w oczach żołnierzy uchodzić musiał za nieodstępnego dla kul nieprzyjacielskich, tak, jak był niewyciężonym.



Kwestarz Konopka na furze ze zbożem w Karnkowie. (fot. amat. p. Karnkowskiej).

OŻOMLA.

Jedzie się ze Lwowa do Sądowej Wiszni. Zwykły krajobraz rusiński: równina, tu i owdzie rozfalowana lekkim podnoszeniem się i spadkiem terenu, wioski, przylepione do ziemi, dużo drzew dokoła chat i t. d.

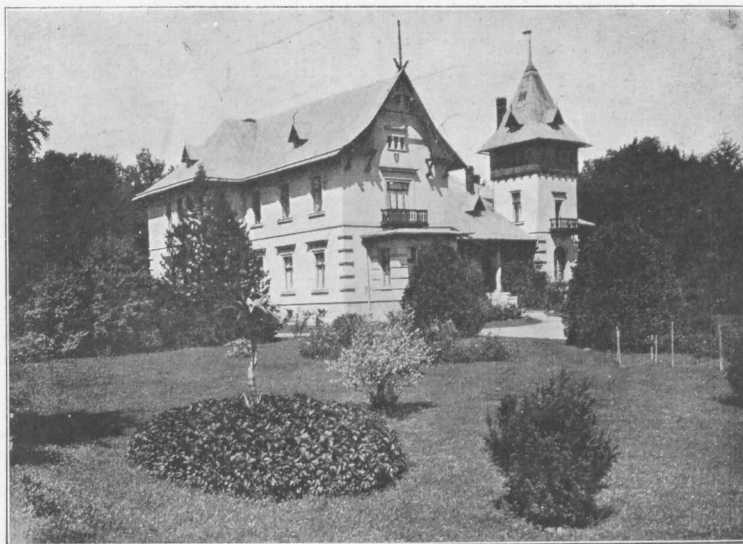
Sądowa Wisznia jest miasteczkiem, jak setki u nas. Główną jej ozdobą piękny klasztor Reformatów, zbudowany w ramach malowniczego otoczenia na wzgórzu.

I stare to, dawne czasy pamiętające miasteczko, jakch setki u nas, a jak prawie wszystkie na Rusi najeżdżane często przez Tatarów. Bardzo dotkliwe, niszczące musiały być te najazdy hordy, kiedy miasto „przez inkursje nieprzyjacielskie spustoszałe pieniądze koronacyjnych nigdy nie dawało“.

I nietylko Tatarzy nękali mieścinę. Tę samą sztukę potrafili także jej władcy, starostowie. Uskarżali się mieszczenie niejednokrotnie, że „stawczyznę ze trzech stawków przez starostę na nich włożoną po złp. 800 płacić muszą, których stawków nie łowią nigdy, mieniąc, że mało w nich ryb znajduje się, ponieważ trzy razy na tydzień na potrzebę starościńską ze dworu łowią i że więzieni będąc na tę powinność podpisać się musieli“. I uskarżali się jeszcze przed trybunałami, że „starosta, mając znaczny szynk, w wolnem szynkowaniu gorzałką przeszkodę im czyni, wyganiając ludzi z ich domów, aby nie pili tylko u niego, do czego zwierzchność dworska kozaków przydaje. Elekcji wolnej rajców i wójta przeszkadza, tych tylko, których chce arendarz, zwierzchność dworska stanowi; sprawy ekonom pod swoją władzę podciąga i grzywnami obciąża ludzi“ i t. d.

Dobre czasy mieli nasi dawni starostowie. Ryby ze stawów zjadali i kazali sobie za to płacić; łyczków pędzili do swoich szynków, a który nie chciał, tego po grzbiecie nahajem kozackim. Dowcipni starostowie...

Z Sądowej Wiszni do Ożomli, rezydencji hr. Franciszkowstwa Czosnowskich, prowadzi minut kilkadziesiąt dobra



Dwór w Ożomli
(z teki hr. Czosnowskiej).



„Buduar“
(z teki hr. Czosnowskiej).

droga. Wieś, leżąca w powiecie Jaworowskim, o 11 klm. od miasta Jaworowa, w dorzeczu Wisły, robi wrażenie dużej, zamożnej wsi polskiej z jej zwykłymi dekoracjami: stawem, lasem, rzeczką (Ozomla), kościołem (cerkwią). Jak znaczna większość wsi w tych stronach, ma Ozomla ludność mieszaną: polską i ruską.

Pierwotnymi właścicielami Ozomli byli królowie polscy, którzy wynagradzali, jak wiadomo, dzierżawą swoich królewskich zasługi wojskowe. Dzierżawcą Ozomli był w r. 1566, obdarowany przez króla Zygmunta Augusta, Stanisław Stadnicki, w roku 1662 Władysław Wilczkowski, starosta zwinogrodzki, w roku 1760 Marja z Mniszców Siemieńska, kasztelanowa lwowska (wdowa). Skonfiskowana w r. 1783-ym przez rząd austriacki, weszła Ozomla w skład dóbr jaworowskich. Na jej gruntach założono w owym czasie niemiecką osadę Schomlau. Obecnie należy ona do hr. Franciszkowstwa Czosnowskich.

Dwór ozomlski, odcięty od głównej wsi znaczną

odległością, objęty dużym parkiem, oparty z jednej strony o ścianę leśną, stanowi całość w sobie zamkniętą, rodzaj szczęśliwego zacisza, którego spokoju nie mać gwar życia. Wy-marzonym „tusculum“ jest on dla tych, których widok wrzaskliwej walki o byt boli, lub którzy potrzebują oderwać się na jakiś czas od ludzi i świata, takiego skupienia duszy, jakie daje tylko bezwzględna cisza prawdziwej, szczerzej wsi polskiej.

Prowadzi do niego szeroka aleja, podszyta u dołu gęstym, doskonale utrzymanym szpalerem. Otwiera do niego wstęp brama, zlewająca się z gałęzmi ogromnych, sędziwych drzew.

Wjechawszy latem przez bramę, spostrzega się od razu estetyczną, wykwinną rękę niewieści. Kwiaty, kwiaty, same kwiaty! Nawet na bramie witają one gościa z wazonów. Rozrzucone z wielkim smakiem bu-

kietami po klombach, mienią się wszystkimi barwami tęczy.

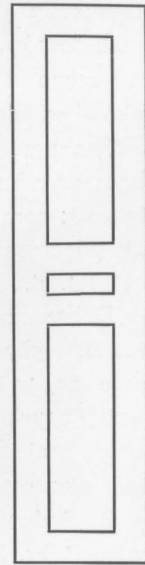
Estetyczna - w istocie ręka gospodyni (p. Marji



Hrabianka Nuna Czosnowska w „halli“.



Czwórka ozomlska, powożona przez hr. Franciszka Czosnowskiego.



z ks. Puzynów) czuwa wiosną i latem nad tymi żywymi, wzorzystymi kobiercami, hr. Czoznowska bowiem, zajmująca się literaturą i sztuką (piórem dobrze włada) odczuwa w wysokim stopniu piękno.

Jej estetyczną rękę widać, czuć wszędzie w domu. Stary to dom, stara siedziba szlachecka, zgoła niepodobna do dzisiejszych t. zw. pałaców wiejskich, *recte* kamienic, zaopatrzonych we wszystkie sybaryckie wygody nowoczesne, a puste właściwie wewnątrz.



Hr. Czoznowska z córką Nuną na przejażdżce.

Nie ma w nich zapachu tradycji, nie ma pamiątek rodzinnych, mówiących do potomnych. W domu ożomskim pełno tych pamiątek, tych śladów dawnych czasów, za którymi ubiegają się najwięcej ci, co je usiłovali zniszczyć, bo im zawadzały.

I oboje gospodarstwo ożomscy przypominają naturalną swobodą starej kultury o dobrym stylu swoich antenatów, co spoglądają na nich ze ścian.

HABDANK.

MEDYKA.

Jedną z miejscowości, która przez długi szereg lat stała w rzędzie ognisk życia umysłowego i politycznego Polski, jest wieś Medyka, w Przemyskiem, w Galicji. Ludność Medyki mieszana, polsko-rusińska, posiada tu swoje oba parafjalne kościoły. W kościele łacińskim mieszczą się obrazy i stacje najdawniejszych szkół polskich artystów. Okolice Medyki ku Przemyślowi jest równiną, od strony zaś Mościsk pagórkowata i lesista. Gleba w całym Przemyskiem najżyźniejsza; chodzi nawet legenda, że się tu Panu Bogu wór rozpruł, gdy w nim niósł ziemię na Podole. Legendy z prastarych czasów i wspomnienia historyczne przywiązane są do tych miejsc. Tu, w drodze do Gródka, zasłuchiwał się na śmierć słowika Władysław Jagiełło. Do dziś też słynie ogród w Medyce słowiczą orkiestrą.

Klucz medycki nabył z początkiem zeszłego wieku Józef Benedykt Cholewa Pawlikowski. Za syna jego Gwalberta był pałac w Medyce Puławami dla południowej Polski. Gwalbert Pawlikowski, biorąc żywy udział we współczesnym życiu umysłowym i artystycznym, będąc członkiem lub członkiem-korespondentem wszystkich prawie towarzystw naukowych w kraju, zgromadził — do roku 1853 — bibliotekę, liczącą około 30,000 dzieł, bogatą kolekcję polskich monet i medali, a przedewszystkiem, największy i najkompletniejszy do dziś, zbiór rycin

polskich. Nadmienić także wypada, że biblioteka ta mieści po za tem 3,000 rysunków ręcznych — między nimi zaś przeszło 200 rysunków Chodowieckiego, — wiele dzieł Lampich, Bacciarellego, Dollabelli, J. Kossaka, Grotgęra i in., ponadto zaś wielką ilość polskich pieczęci, dokumentów i rękopisów. Zbiory te — jak słyhać — mają być w najbliższym czasie, zachowując swoją odrębną całość i administrację, połączone z Zakładem Narodowym Imienia Ossolińskich we Lwowie. Z instytucją tą łączy je zresztą tradycja osobista. Pawlikowski bowiem, bliski przyjaciel Ossolińskiego, wzbogacił był zbiory jego licznymi darami i zastępował swego czasu kuratora Ossolineum, Henryka Lubomirskiego, a w tym to czasie pierwszy zbiory Ossolińskich zkatologował.

Przy bibliotece i zbiorach artystycznych grupował się wszystek prawie, a przedewszystkiem galicyjski świat umysłowy. Pierwszym kustoszem zbiorów Pawlikowskiego był słynny rytownik K. W. Kielisiński (patrz artykuł jego w poznańskim „Orędowniku Naukowym“ r. 1840, № 12 i następne p. t. „Kilka słów o ważniejszych zbiorach“ — cały poświęcony bibliotece medyckiej). Za poparciem Gw. Pawlikowskiego kształcił się, oprócz innych, Franciszek Tępa; w jedynej zaś, z kilkunastu, ocalonej z pożaru medyckiego lamusa, walizie z korespon-



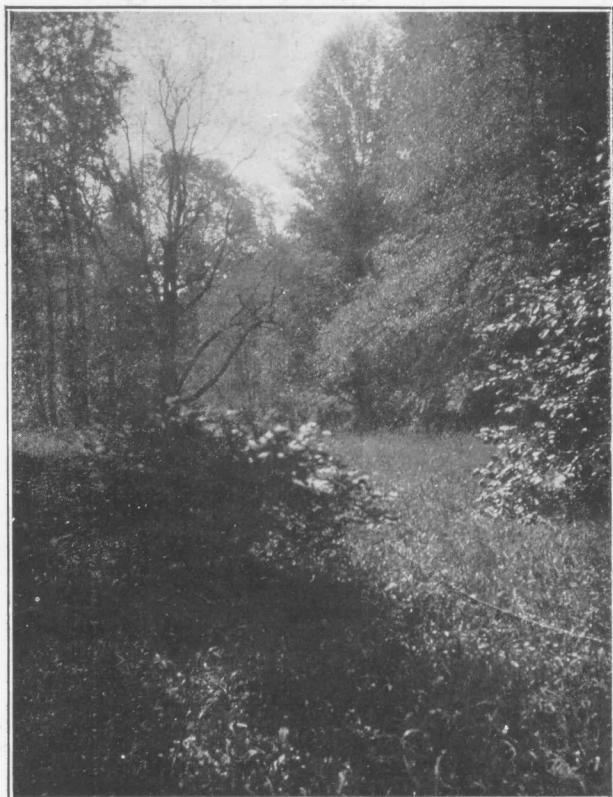
Oficyna w Medyce.

dencją, nie brak, zdaje się, ani jednego wybitnego nazwiska polskiego, a wszystkie związane są z Medyką bliższymi lub dalszemi węzłami. Zajmował się też Pawlikowski archeologią, odkrywając ciekawe wykopaliska w szczawnickiem.

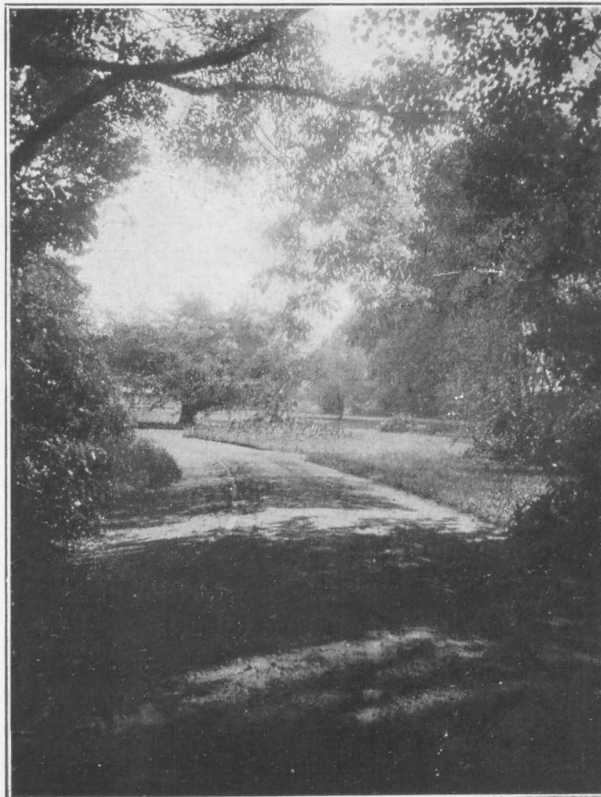
Najszerzej obok biblioteki słygał ogród medycy,

park, sad i szklarnie. Jest to dziś jeszcze piękny ogród botaniczny, naówczas jednak był pierwszym w kraju. Sprowadzano doń mnóstwo egzotycznych roślin południowych.

I życie polityczne kwitło w medyckim dworze. Rok 31 zostawił tu po sobie wspomnienia w po-



Widok z parku.



Medyka, w Galicji.

U wylotu alei lipowej.



P. Michał Pawlikowski, redaktor „Lamusa”, w mundurze b. wojska polskiego z r. 1831.

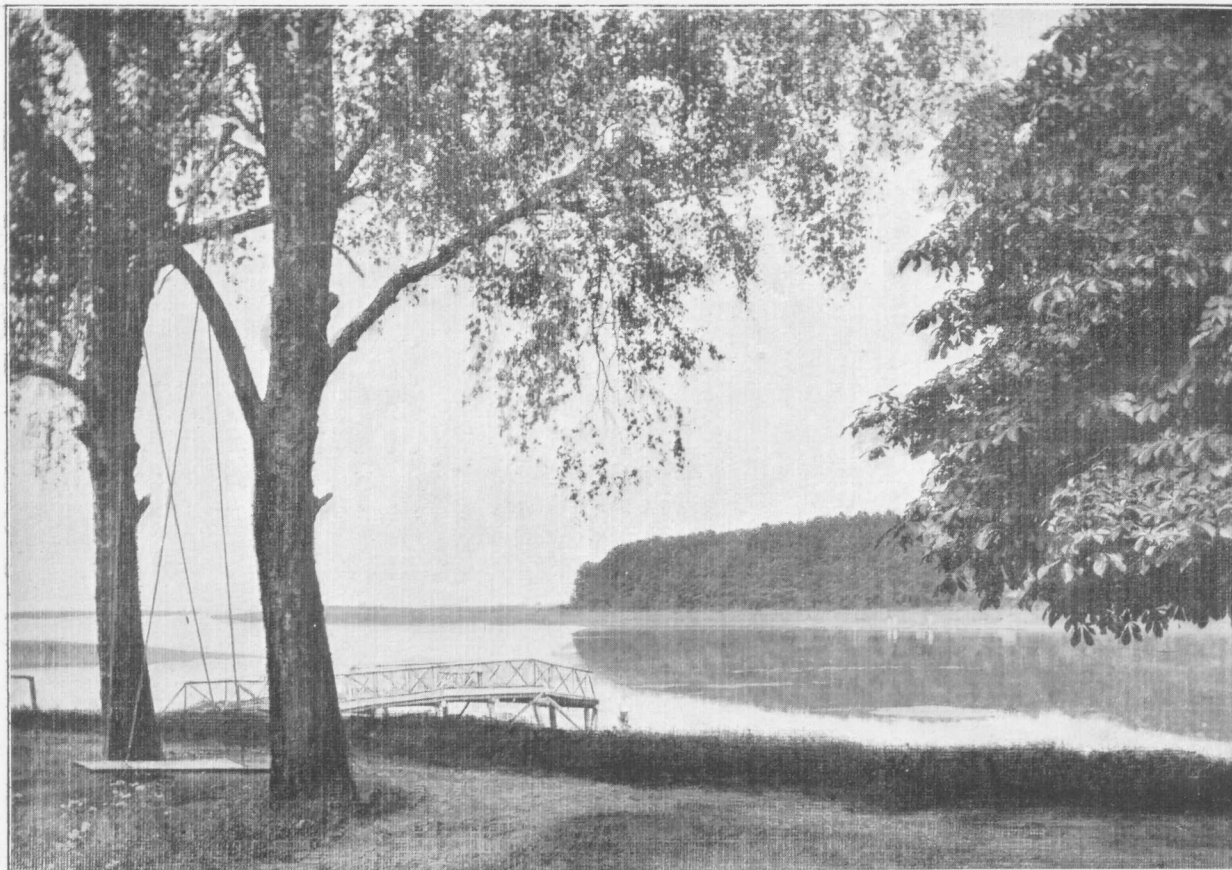
staci rozległej korespondencji, zwłaszcza z Władysławem Zamoyskim, który bezpośrednio po wybuchu ukrywał się w Medyce. Życie to silniej jeszcze rozwinęło się za syna Gwalberta, Mieczysława. We dworze medyckim przygotowywano rok 1863. Stałymi gośćmi i przyjaciółmi Mieczysława Pawlikowskiego byli: August Bielowski, Bruno Bielawski, Jan Dobrzański, poeta Mieczysław Romanowski i Ludwik Wolski. W Medyce dwa razy stał kwartę pułk Lelewela Borelowskiego, stąd wyszedł na śmierć pod Józefowem Mieczysław Romanowski, stąd wreszcie wzięto Mieczysława Pawlikowskiego do więzienia w Ołomuńcu. Kornel Ujejski długo przemieszkował w Medyce, związany najbliższą przyjaźnią z gospodarzem, przywiązany głęboko do tych miejsc, którym poświęcił między innymi swój piękny, znany wiersz p. t. „Błonia Medyckie“.

Po powstaniu przeniósł się Mieczysław Pawlikowski z rodziną do Krakowa, i tam pracował na polu publicznym (założenie „N. Reformy“) i literackim (powieści: „Testament Napoleona“, „Baczmaha“, „Drugi Tom“, „Plotki i Prawdy“ etc.). W Krakowie też odtąd gromadzili się w dworku Pawlikowskich, na Kleparzu, literaci, politycy i artyści — a Medyka opustoszała. Tradycje g licyjskich Puław, aczkolwiek przeniesione na inny teren istnieją

wszakże do dziś. Jeden z wnuków Gwalberta, Tadeusz Pawlikowski, przez dyrekturę teatrów przyczynił się w wielkiej mierze do podniesienia poziomu sceny polskiej i literatury naszej dramatycznej, drugi zaś, obecny właściciel Medyki, Jan Gwalbert, bierze najczynniejszy udział w życiu politycznym, stojąc na czele stronnictwa narodowo-demokratycznego, oraz literackiem. Dzieło jego p. t. „Mistyka Słowackiego“ stanowi epokę w dziejach piśmiennictwa i nauki polskiej. Nić ta snuje się dalej. Syn Jana Gwalberta, a prawnuk Gwalberta, Michał Pawlikowski, wcześniej już dał się poznać z pełnej talentu pracy twórczej, zakładając ponadto pismo „Lamus“, które w ciągu trzech lat ostatnich oprócz najwybitniejszych, współczesnych naszych autorów, przyniosło wydobyte z archiwów i zbiorów prywatnych niedrukowane przedtem nigdzie pisma Kopernika, Mickiewicza, Słowackiego, Chopina, Ujejskiego, Grotgera, Asnyka, Wyspiańskiego i innych.

Siedziby dawnej w Medyce już niema, została tylko oficyna, a na miejscu drugiego skrzydła pałacu stanął nowy dom. Wspomnienia i nazwiska trzymają się jednak wiernie Medyki. Od lat bowiem dzierżawi majątek p. Mieczysław Romanowski, brat stryjeczny i imiennik poety.

M. W.



Przepeć pod Terebnem, w Pińszczyźnie (z teki p. Ordy).



Grupa myśliwych (z teki hr. Wińskiego-Kaszowskiego).

MÓJ PIERWSZY WILK.

U polowałem go w bardzo jeszcze wczesnej młodości. Miałem zaledwie 17 lat. I jeżeli nie pysznię się z tego tryumfu tak, jakby to śmiało mógł czynić każdy prawowity św. Huberta adherent — no! to tylko dlatego, że mam swoje prywatne powody do wyjątkowej w tej sprawie skromności. Powody, dla których w zbiorze moich licznych dosyć myśliwskich trofeów brak właśnie tego wilczego łba z czasów pierwszych moich, młodocianych tryumfów.

Ale dziś — szron wieku zwarzył nieco nietylko wrodzoną moją modę, ale i inne, jeszcze cenniejsze może i zupełnie już osobiste moje zalety... biała osędzielną lat przeżytych obsiada czuprynę — mogę się więc wypowiadać szczerze zupełnie i bez żadnej przechwałki, jak to z owym pierwszym wilkiem mi się zdarzyło.

W siedemnastu latach, jeżeli się nie jest usamowolnionym „dziedzicem“ — siedzi się zwykle jeszcze na szkolnej ławce. Ja kończyłem właśnie to ośmioletnie siedzenie na sławnych, choć nielito-

ściwie twardych ławach gimnazjum św. Anny w Krakowie. Byłem w ósmej klasie i przygotowywałem się do Rubikonu maturitatis.

Po Bożem Narodzeniu, jakoś w parę dni po powrocie ze świąt, na pensji, gdzie byłem ulokowany, wybuchła ospa. Pomimo internowania chorych kolegów zarząd gimnazjalny zabronił nam przez czas jakiś przychodzić na lekcje w obawie epidemji. Wówczas to serdecznemu memu przyjacielowi i koledze, Julkowi C., ze wschodniej Galicji przyszedł świetny pomysł do głowy: oto postanowił pojechać do domu i zabrać mnie z sobą.

Julek C., był typem dzisiaj już rzadszym. Bujna, trochę stepowa natura, złote serce, nienawidzące miasta, mieszcuchów i szkół, żyjące pełnem życiem do-

piero tam, na pograniczu Ukrainy, wśród pól, lasów, z koniem, chartem i strzelbą. Myśliwym był zawołanym i cuda mi zawsze opowiadał o polowaniach we Wschodniej Galicji. Ja dotąd prócz przepiórek, kuropatw, kaczek i paru tuzinów zajęcy nie miałem jeszcze na sumieniu żadnych wybitniejszych trofeów łowieckich, ucieszyłem się też jego



Wyjazd na łowy (z teki hr. Wińskiego-Kaszowskiego).



Powrót z polowania
(z tekł hr. Ilińskiego-Kaszowskiego).

zaprosinami ogromnie i przez całą dość długą drogę w wagonie wyciągałem go wciąż na opowieści o zwierzostanie i różnych sposobach łowów, uprawianych na jego dziedzictwie. Zapomniałem bowiem dodać, że Julek nie miał już rodziców, majątek do którego jechaliśmy był jego wyłączną własnością, a rządy w nim sprawowała babka jego, bardzo zacna, ale ogromnie przytem energiczna matrona, zamieszkująca w domu wnuka, wraz z całym regimentem ciotek i rezydentów.

Przyjechaliśmy od kolei pod noc. Po przywitaniach i przedstawieniu mnie domowym, przy wieczery, rozmowa znów zesła na polowanie. Aby czasu nie tracić, postanowił mój młody gospodarz urządzić łowy zaraz dnia następnego. Jakoż nazajutrz po wczesnem śniadaniu, zjedzonym jeszcze przy świetle lampy, ruszyliśmy do lasu. Bór był stary, sosnowy przeważnie, mocno podszyty dębiną i krzami, zwarty, głuchy, poważny. Miały być w tej knieji sarny na pewno. Stanęliśmy na stanowiskach, opatrzyli broń, naganka ruszyła. W pierwszym jednak miocie, prócz paru zajęcy, do których nie strzelaliśmy naturalnie, nie było nic.

Przejechaliśmy na drugie stanowiska, założono miot nowy, który skończył się tym samym rezultatem. Sarn nie było. Julek zaczynał się irytować. Skoro naganka prowadzona przez siwego borowego, Zagrajczuka, podeszła ku linji, ostro na starego natarł.

— Gdzie sarny? Jakim sposobem może ich tu nie być! tu, gdzie stoją zawsze! i dlaczego wy, Zagrajczuk, nic o tem nie wiecie?

Siwy wysoki borowy nacisnął garścią czapkę na czoło i, marszcząc brwi, odrzekł:

— Sarny wszystkie poszły od rana na Chałatyńskie lasy. Dziś nic tu nie zrobimy, panyczu! koło Mikołowego dęba przeszły!

— Widzieliście tropy, Zagrajczuk?
— A widział, panyczu.
— Więc na tej stronie basta! Ale możeby za Mikołowym dębem założyć? na Parochowej górcze?
— Dalej poszły.
— Dalej? dlaczego? skąd wiecie?
— Gonione były...
— Co? raubszyce znowu!
— Nie, panyczu! — basiory...
— Basiory? iii!... za wcześniej jeszcze! Dniestr nie zamarzał jeszcze tej zimy!
— Co to takiego „basiory“? — wmieszałem się do rozmowy.

— Wilki, mój kochany.
— Wilki? czyż u was są wilki?
— Zagrajczuk twierdzi, że są, choć ja temu niedowierzam! A tropy wilcze widziałeś? — zwrócił się do niego.
— A jakże, panyczu! i jeszcze więcej jak tropy! basiory siutę jedną zżarły!
— Gdzie?!
— Koło Szumu, na Waśkowej steczce!
— Chodźmy tam!
— Podjedzie do samego Szumu! niech panyczce wsiadają!

Wsiedliśmy na niekute saneczki i po kilkunastu minutach jazdy stanęliśmy przy małym wodospadzie, utworzonym przez strumień, co las w tem miejscu przecinał. Woda, pędząc z góry wartkim, karkołomnym prądem, rozbiła się o parę gładów sterczących, z głośnym hałasem, powtarzanym przez leśne echa i toczyła się dalej srebrnym sznurem pian, ujętych w mięką, białą ramę zwisającego z brzegów śniegu i w dwie czarne ściany smreków.

Zagrajczuk, wylazszy z sanek, odszukał wnet wśród nich miejsce, gdzie ostatniej nocy rozegrał się krwawy dramat. Na zdeptanym gęsto, krwią



W knieji (z tekł hr. Ilińskiego-Kaszowskiego).

zrumienionym śniegu walało się kilka niedogryzionych kości ze zwisającymi strzępami sarniej sierści.

W milczeniu obejrzelśmy miejsce zbrodni, ukryte przez głąsę leśną.

— Ilu ich mogło być? — spytał Julek.

— Czterech! — odpowiedział Zagrajczuk.

Pokazał nam i wyliczył tropy zbiegające się opodal w jeden jedyny sznurek wilczego chodu.

O dalszem polowaniu na dziś nie można było myśleć. Przez całą drogę do domu obmawialiśmy szczegóły tej wyprawy.

Ale Zagrajczuk miał przed tem inne zamiary. Nie chciał tracić czasu i namówił Julka żeby zapolować na wilki przy podrzuconej padlinie, „na wychodnego“.

Pod lasem stała opuszczona stara gorzelnia. Dachy już nie było, zostały tylko mury. Tam możnaby się zasadzić, proponował, a obwóktysy po lesie padlinę, podrzucić ją pod murami — może znęca się wilki.

Projekt ten spodobał nam się odrazu.

Natychmiast po powrocie do domu zarządził Julek obwótkę padliny i przygotowanie do wieczornej zasadzki. Miało nam towarzyszyć dwóch strzelców i Zagrajczuk. Broń była w wystarczającej ilości. Ja miałem sztucer podwójny z fabryki Szailera, Julek dubeltówkę i Mannlichera, służba drilingi. Ponieważ mieliśmy spędzić parę godzin na tej zasadzce, przeto Julek kazał nakryć gałęziami sośniny jedną z dość dobrze jeszcze zachowanych izb i rozpalić tam ogień dla zagrzenia ponczu, który miał przyrządzić.

Skoro zapadł wieczór, udaliśmy się do starej rudery, zaopatrzeni w broń i kosz z kolacją.

Padlina, obwleczone poprzednio po lesie już była podrzucona pod zewnętrznym, gorzelnią otaczającym, murem. Księżyc świecił, ale niebo zasnuło się od południa chmurami, mróz zelżał i po-

czął sypać gęsty, drobiuchny, suchy śnieg. Idąc, brnęliśmy w nim i w poprzednich, dawniej spadłych warstwach, niemal do połowy łydki. Roztasowawszy się w izbie i zjadłszy zimną kolację zaczęliśmy półgłosem gawędzić, wychodząc co chwila pod mur, przy którym strażowali strzelcy.

Naraz, było to już około ósmej wieczorem, Zagrajczuk dał nam znać, że wilki się zbliżają.

Chwyciwszy broń, wybiegliśmy natychmiast pod mur. Od strony lasu zbliżały się rzeczywiście jakieś dwa czarniawe punkty, śnieg jednak sypał tak gęsty, że mimo szarej jasności sączącego się przez chmury księżycowego światła i odbłasku od śniegowej powierzchni

nie można było rozeznaczyć kształtów. Po chwili punkty te zbliżyły się do padliny i — siadły. Rozległo się chrapliwe wycie...

Zelektryzowani, poczęliśmy zawzięcie celować. Ale ani rusz dojrzeć muszki! chcieliśmy strzelić kulami, trzeba więc było wymierzyć precyzyjnie. Szarawo-biały welon śniegu sypiącego się jak z rozdartej pierzyny przysłaniał wzrok. Wilki — teraz bowiem nie wątpiliśmy już, że tobyły one — wzięły się tymczasem do padliny. Przyjętą był padły koń. Wilki wżarły się



Wilczyca zabita przez hr. Pusłowską
(z teki hr. Ilińskiego-Kaszowskiego).



Przed leśniczówką (z teki hr. Ilińskiego-Kaszowskiego).

tak w niego, że dla oka stanowiły jedną plamę, w której niepodobna było nic o różnić. Julek wpadł wówczas na pomysł wyjścia za mur tylną furtką i wzięcia rabusiów w dwa ognie, okrążywszy ich.

Wyślizgnąwszy się cichutko przez furtkę, rozeszliśmy się w dwie strony wzdłuż muru i z odwiezioną bronią, z palcem na cynglu posuwaliśmy się ku tej stronie, gdzie wilki szarpały padlącą. Zagrajczuk z jednym ze strzelców ukazał się jednak wcześniej trochę. Wilki, spostrzegłszy ich, rzuciły się w bok. Nas, t. j. Julka i mnie, odgradzała od nich wąska, drzewami wysadzona dróżka, wiodąca z gorzelni do folwarku. Właśnie dochodziliśmy do niej. Instynktownie skoczywszy naprzód, przycisnąłem się do drzewa i wysunąwszy naprzód broń, starałem się wziąć na cel pierwszego z wilków. Był ode mnie nie dalej nad 30 — 35 kroków. Śnieg jednak sypał ciągle i muszki nie mogłem dojrzeć. Mierzyłem więc po prostu końcem luf, wytrzymując idącego na sztych zwierza. Pociągnąłem więc za cyngiel...

Suchy, urwany, zgłuszony tumanami śniegu, huknął strzał. Wilk zrulował w ogniu. Wsunąwszy drżącymi palcami nowy nabój w lufę, skoczyłem ku mej zdobyczy. W tej samej chwili jednak huknęły

znowu dwa strzały — to Julek strzelił do drugiego wilka.

Na ćwierć sekundy może zatrzymałem się w biegu — wtem mój wilk zerwał się, zatoczył na nogach, i zaczął umykać. Strzeliłem za nim z prawej lufy, ale, naturalnie, spudłowałem. Wilk umykał coraz lepiej — puściłem się więc za nim, bo zresztą nic innego mi nie pozostawało uczynić. Ubiegłem ze dwadzieścia kroków, ale dystans pomiędzy mną a wilkiem nie zmniejszał się wcale. Myślałem już żeby stanąć i strzelić, ale strzał w tych warunkach był wątpliwy a straciłbym jeszcze więcej na odległości. Przyspieszyłem więc tempo. Mróz zelzał

Już zaczynało brakować mi tchu. Ubranie, broń, filcowe buty ciążyły strasznie. Ale począłem się zbliżać do wilka, który przytem widocznie ustawał. W końcu przysiadł i próbował zrywać się dopiero kiedy podbiegłem doń na jakie 10 kroków. Wymierzyłem na komorę i kiedy po strzale zwałił się ciężko w śnieg, byłem tak zmęczony, że chętnie uczyniłbym to samo.

W szarej, zasnutej śniegiem przestrzeni majaczyła jakaś ciemna postać. Był to Julek, który widocznie szedł mi na pomoc.

— A co? został? — zapytał mnie, podchodząc.

— Leży.

— Winszuję ci! ja... spudłowałem!

— Goniłem go z całych sił!

Podeszliśmy do wilka. Leżał z otwartą, w śnieg zarytą paszczą — tężał już.

Trzeba było go wziąć. Spróbowałem go podnieść. Był porządnie ciężki.

Julek wziął go za tylne łapy, ja za przednie, ale niewiele to było lżej.

— Wiesz co? — rzekł Julek — zostawmy go tu. Przyjdzie Zagrajczuk ze strzelcami i wezmą go.

Ale ja ani słyszeć nie chciałem o tem.

— No, to sobie nieś sam! — zawołał Julek — ja zresztą nie zabiłem go, tylko ty! co ja mam nosić cudze wilki! — i poszedł naprzód.

Nie chciałem go prosić o pomoc. Czułem, że ambicja myśliwego była w nim zadraśnięta mojem powodzeniem. Postanowiłem poradzić sobie sam.

Zaczęła się ciężka wędrówka.

Brnąc w śniegu, spocony jak mysz, niosłem i na przemian ciągnąłem moją zdobycz, dobywając ostatków sił. W dodatku straciłem trochę orientację i zeszedłszy niepotrzebnie na łakę wpadłem do głębokiej, śniegiem zasypanej przykopy, razem z moim wilkiem i z bronią i z wielkim trudem, klnąc na czem świat stoi, wreszcie wydostałem się na ową drzewami wysadzoną dróżkę, a po kilkuset krokach stanąłem już i pod murem gorzelni. Cisnąłem mego wilka z pasją w śnieg i wszedłem



Na „stanowisku“
(z teki hr. Ilińskiego-Kaszowskiego).



Rysie (z teki hr. Ilińskiego-Kaszowskiego).

do izby. Julek już tam był i przy świetle latarni wycierał swego Mannlichera.

— No? cóż twój wilk? doniosłeś go przecie, ty uparciuchu? — zapytał.

— Naturalnie! leży koło furki... może każesz strzelcom go tu przynieść.

Zagrajczuk podniósł się i wyszedł. Za chwilę wrócił, wlokąc swoją zdobycz i rzucił ją przy drzwiach.

— Ostrożnie! popsujecie skórę! — zawołałem.

— Iii! co tam taka skóra, panyczu! — machnął stary ręką.

— Co? jakto „taka skóra“? ogromne przecie wilczysko!

— At! taki to tam i wilk, panyczu!

— Jakto?... jakież on jest?...

— Ot... niewarto gadać!

Obaj z Julkiem zerwaliśmy się z miejsc. On chwycił latarnię i nachylił ją nad porzuconym przy drzwiach trupem zwierzęcia...

— A niechże ciebie! — wybuchnął nagle śmiechem — tożes ty psa jakiegoś zatłuk! ha, ha, ha!

Pociemniało mi w oczach...

— Co?... to... jest...

— Pies! najwykleszy pies owczarski!

— To pewno Andruszki, owczarza z Sabatynie! — rzekł Zagrajczuk — on ma takie burki!

Stałem, nie mogąc słowa przemówić.

Patrzyłem na „mego wilka“. Istotnie, ten łeb — pysk — łapy — nie! to nie był wilk...

— Czy chcesz go zabrać do dworu? — spytał mnie Julek, z drwiącym uśmiechem — choć nie wilk, ale przecie też zdobycz! i tyleś go się na-dźwiga!...

Uczułem, że rumieniec oblewa mi twarz i szyję. W oczach zrobiło się jakoś gorąco i wilgotno...

— No! no! dajże pokój! — zawołał Julek, chwytając mnie w objęcia. — Toż to każdemu może się przydarzyć! ja sam przecie strzelałem do drugiego, tylko chybiłem, na moje szczęście! Wałęsają się psy po nocy — i przyszły na padlinę! Owa! a myślisz, że Zagrajczuk by nie strzelił?

— Czemu nie, panyczku! Po nocy, na takiej „sypce“, wszystko bure, taj bure! Ale panycz dobrze strela! dobrze! Obie „pule“ dostał sobaka! obie!

To mnie trochę pocieszyło.

Ale wróciłem do Krakowa — bez łba wilczego...

A kiedy potem w lat kilkanaście udało mi się zabić prawdziwego wilka, na tarczy, do której przytwierdzony był jego łeb wypchany, napisałem własnoręcznie „mój pierwszy, prawdziwy wilk — M... 1891“.

KNIEJOWY.



Ryś (z teki hr. Ilińskiego-Kaszowskiego).

MODY.

Początki tegorocznej zimy daleko odbiegły co do podobieństwa aury od owej z przed stu lat poprzedniczki, co zasłynęła od mrozu i śniegu w historii. Zdawało się że po słotnych i błotnych świętach Bożego narodzenia nie będziemy mieli nawet sposobności podziwiać tego roku pięknych zimowych spacerowych tualet naszych pań. Ale styczeń wynagrodził za grudzień. Śniegiem i mrozem utrwalała sanna wydobyla na światło dzienne wszystkie tegoroczne futrzane mody i ciepłe zimowe туаlety. Ulica pod tym względem ożywiła się i przedstawia widok może nie tyle rozmaity ile — co do doboru — barwny.

Zupełnie inaczej przedstawia się modno-tualetowa sytuacja pod „strzechami“ salonów; teatrów i tym podobnych miejsc zebrań towarzyskich. Tam wśród blasku światła i komfortu otoczenia, rozwija się cały obszerny i wytworny repertuar sezonowych elegancji, których przepych rośnie z każdym rokiem i dochodzi istotnie do zdumiewających rozmiarów!...

Zaznaczając ten zbytek, mówię oczywiście o paniach wyniesionych losem ponad ogół, ochronionych przed walką o byt, przed ścisłym obliczaniem życiowego budżetu, myślących o tem jakby sobie umilić chwilę, jakby podnieść strojem wrodzony wdzięk i urodę... a takich, na szczęście, w każdym wielkim mieście jest liczba pokaźna — dla tego „na szczęście“, że zbytek jednostek — czyli puszczanie w obrót znaczniejszych pieniędzy, przyczynia się do ogólnego wielkomięjskiego dobrobytu.

Dla tych więc wybranych zaczął się obecnie wielki sezon przyjęć, rautów, proszonych obiadów, teatrów, wielkich koncertów (z wykluczeniem jak w tym roku balów publicznych i zabaw tańczących). Pola do popisów, pomimo tego ostatniego ograniczenia, nie brak. Rozegrać się na niem mogą walki, których motorem jest przede wszystkim gust estetyczny, czyli poczucie piękna w туаletcie, orężem — jedwabie, kwiaty i koronki, a najskuteczniejszymi pociskami — blaski pięknych oczu, śnieżność uroczych ramion, korale ust, złote lub krucze sploty włosów — jednym słowem — piękność kobieca, podniesiona cudnem obramowaniem...

Ogólny rysunek tualet wieczorowo-rautowych, zdradza stałą dążność utrzymania mód sezonu zimowego z 1909 i 1910 roku. Widocznie u źródła modnej wszechwiedzy, to jest w Paryżu, przekonano się, że owe wielkie ekscentryczności, które chciano teraz wprowadzić, mianowicie zwrot do stylu Ludwika XV, okazały się jednak niemożliwe. Kilkakrotne usiłowania w tym kierunku spełzły na niczem, ograniczono się tedy do przeistoczenia pewnych szczegółów, nie czyniąc zmian zasadniczych.

W stolicy jedwabistów, to jest w Lyonie, wytworzono w ostatniej jedwabniczej kampanii materiały nadzwyczajne, robione według wzorów z XVIII stulecia, to jest owych sławnych brokarów tkanych „en relief“ srebrem lub złotem, o cudnych, to bardzo żywych, to znów pastelowych barwach,

o wspaniałych motywach — doprowadzono tkaniny te do doskonałości, mianowicie zachowano im archaiczny wygląd a ujęto grubość — wagę, teraz są to nieledwie pajęczki tkaninki, leciuchne, ślicznie się układające a będące podstawą wszystkich tualet luksusowych. Z nich to wykonywują owe sławne tak modne „manteaux du soir“, podbijane atlasem lub lekkimi futrami, służy również do dekoracji sukien wieczorowych, do draperji przy ramionach i t. d.



BOGUSEAW HERSE.

Najwspanialszym zestawieniem sukien wieczorowych jest stara wenecka koronka, przetykana złotem i bramowana fu-



BOGUSŁAW HERSE.

trem; jako „fond“ czyli podstawa tych splendorów służy piękne jedwabie w nieprzebranej gamie odmian i miękkie połyskliwe aksamity. Hafty bądź to wzorzystymi pelami i koronkami bądź najrozliczniejzszymi świecidłami i kaboszonymi, przody sukien całe ze złotej lub srebrnej lamy, a wszędzie ramowania sobolami, nurkami, szenszylą, lub skunksami, wszystko to składa się na istną fantasmagorję barw, blasku i bajecznego przepychu.

Zaznaczyć mi również wypada pewną niezwykłą frakcję tualet, zwanych „Salomé“. Pierwowzorem ich jest kreacja włoskiej śpiewaczki, „Bellincioni“ w operze „Ryszarda Strauss'a“. „Salomé“ jest to strój wschodni w najczystszyim stylu, z cudnem charakterystycznym przybraniem głowy wiesiorkami z pereł i przepaską złotą zdobną kamieniami, z napiersnikami i naramiennikami z pereł i kamieni, ze stylową koszulą a raczej tiuniką całą obwieszoną sznurami z pereł z ramionami i rękami założonemi bransoletami i pierścieniami.

Strój ten służy za motyw — za typ, oczywiście modernizowany na wszelkie sposoby — ale się zawsze w głównych zarysach powtarza i stał się ulubionym, ubóstwianym przez te paryżanki, którym głównie chodzi o ekscentryczną nutę w tualecie. Wątpię żeby tego rodzaju przebrania przyjęły się kiedykolwiek na gruncie naszym, chyba w danym razie przy bardzo odpowiedniej ku temu powierzchowności — na bal kostjumowy.

Zaznaczyć jeszcze muszę kilka szczegółów tualet wieczorowych.

Przedewszystkiem uczesania noszą mniejsze znacznie, ale za to niema elegancko utrefionej główki, bez ozdoby w postaci galonów, bardzo są modne wschodnie przepaski szerokie, rodzaj siatki z nausznikami i wiesiorami, (style Salomé) a ostatniem słowem zdobnictwa głów, jest tak zwany „kask“ z lamy złotej lub srebrnej z olbrzymim białym pióropuszem. Jest to koafiura teatralno-rautowa. Do tualet prostszych, czeszą się panie przeważnie w gładko układane nad czołem warkocze, z szeroką, czarną aksamitną przepaską. Czoło przykryte tak zwaną grzywką.

Wachlarze powiększyły swą objętość; modne są bardzo duże, zdobne perłami, haftami — no i oczywiście te cudne ręcznie malowane, bezcenne antyki, które nigdy z mody nie wychodzą.

Rękawiczki, którym czas jakiś groził upadek (a to z powodu chęci ukazania ślicznych paluszków zdobnych drogocennymi pierścieniami) odzyskały swój byt, noszą je bardzo długie i do tualet wieczorowych wyłącznie białe. Pantofelki i pończoszki ściśle dobrane do koloru tulaety.

Oto na razie wszystko. Pozostaje mi tylko życzyć Szanownym czytelniczkom moim — tym które się tak ślicznie ubiorą — dobrej, miłej zabawy — pełnego zadowolenia i ze swej urody i z szat uroczych, ze wszystkich i ze wszystkiego co ich w tym tak bardzo towarzyskim sezonie otaczać będzie.

MARCÈLE.

Cmentarze na Żmudzi.

Różne zwiedzałam cmentarze: miast wielkich, oraz skromne wiejskie samotne, z połamanymi płotami, przewróconymi krzyżami, wśród których hulał wiatr jesieni, zasypywał śnieg białym całunem, lub mała majowa zieleń.

Nigdzie jednak nie doznałam takiego wrażenia, jak zwiedzając miejsca wiecznego spoczynku na Litwie i Żmudzi.

Cmentarz zwykle położony jest na wzgórzu dość wysokim, zasiany grobami od podnóża do szczytu, na którym stoi kaplica, gdzie stawiają zmarłych przed pogrzebem.

Mogiły te zdają się mówić do nas, że to droga dusz, które zrzuciwszy ziemską powłokę, idą w wędrówkę dalszą, ku wyżynom. Lecz nie tylko na cmentarzach są mogiły. Samotne kurhany rzucone są często wśród pól, lub lasu, a w ich wnętrzu, złożona nietylko jednostka, ale wielu wojowników kości, zebrane na pobojuwisku, poległych w obronie kraju.

Strażnice to, rozsiane po ziemi rodzinnej, niewiadomo do kogo należą, złączone w jednej mogile. Potomność pamiętna, rzuca zielone gałązki na taki kurhan; przejezdny, przechodzień, uważa za świętą powinność, dopełnić tego obowiązku. Po zgromadzeniu wielkiej ilości gałęzi, gdy wysoki utworzył się pagórek, dawniej zapalano go. Gorzała mogiła, a płomień ogarniając ją, miał oczyszczać spoczywające tu dusze nieboszczyków.

Z przyjęciem chrześcijaństwa w tych stronach, owym oczyszczającym ogniem, łącznikiem pomiędzy żyjącymi a zmarłymi, stała się modlitwa.

Jednak zwyczaj rzucania gałęzi dochował się dotąd, z dodaniem słów przy modlitwie „Wieczny Odpoczynek“. Do dziś widzieć można wielkie kurhany bohaterów narodowych.

W Dzuginranach w gub. Kowieńskiej jest kurhan Dziuginasa. Wojownik ten wraz z dwunastu rycerzami walczył przed wiekami, za niepodległość ojczyzny. Pokonany, ułożył się wraz z towarzyszami, do snu wiecznego, a nad zwłokami ich, usypano ową górę.

I tu znów powtarza się legenda przechowana w Tatrach o Bolesławie V-ym w Kościeliskiej Dolinie.

Lud zachował pamięć o Dzuginasi, którego uważa za ducha opiekuńczego i wierzy, że kiedyś powstanie z towarzyszami, a wtedy nikt mu się oprzeć nie będzie wstanie. Podobnym kurhanem jest i góra Górnicka w Kurtowianach.

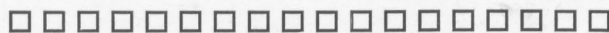
MARJA KACZKOWSKA.



NA PÓL DALEKIE, ŚNIEŻNE OBSZARY...

Na pól dalekie, śnieżne obszary
Gasnący dzień,
Posyła blasków ostatnich dary
Promiennych tchnień.
Ponad wzgórzami obłoki płyną
W bezmiarów dal,
U bram zachodu w przestworzach giną
Powietrznych fal.
A tam w dolinie leży w uśpieniu
Litewska wieś.
Samotny strumyk szemrze w półcieniu
I bieży gdzieś...
Dalekie pola, ubogie chaty
Snem cichym śpią.
Ubrane w śniegów puszyste szaty
Wśród blasków lśnią.

MARJA C.



Przyszła wystawa krajowa w Kijowie.

(Luźne uwagi i spostrzeżenia na czasie).

Kiedy w r. 1896 przygotowywano się do wystawy rolniczej i przemysłowej w Kijowie na rok następny 1897, nikt zgoła nie wiedział, nikt najmniejszego wyobrażenia nie miał o ogólnym stanie wytwórczości w trzech guberniach tutejszego kraju — na Podolu, Wołyniu i Ukrainie.

Statystyka urzędowa, wtedy jeszcze nie istniała prawie jako całość ustosunkowana, zdobyto się na nią po raz pierwszy dopiero w początkach dwudziestego stulecia. Niepodobna też było ułożyć na razie przed wystawą żadnego systematycznego wykazu przedsiębiorczości wytwórczej w kraju, żeby tym sposobem dać tło ogólne do zbliżającego się wystąpienia na widowni publicznej poszczególnych działów rolnictwa i gałęzi przemysłu naszego.

Zaledwie w r. 1898 już po wystawie, grono publicystów, grupujących się zdaleka lub zblizka dookoła dziennika „Kijewlanina“ (pp. Rewa, Aleksandrowski, Ciechowski, Romanowski i inni) zdobyło się *post factum* na zbiorowy opis pawilonów wystawowych, które już wtedy rozebrano i okazów, które z Kijowa wywieziono.

Tym sposobem gruba i suto ilustrowana książka p. t. „Kiewskaja Selsko-chozajstwennaja i promyszennaja wystawka“, (Kijów, 1898 str. 560) pozostała bez najmniejszego wpływu i znaczenia, zalegając kąty biblioteczne, kilkunastu osób prywatnych. Z książki tej niepodobna zresztą było dociec ani się domyśleć, w jakim stosunku ekspozyty z jednej dziedziny pozostają do całości produkcji z tegoż zakresu, ani też zauważyć jakiejś wspólnej usystematyzowanej organizacji poszczególnych działów wystawowych. I na tem zamknęła się literatura o minionej wystawie Kijowskiej.

Rozpoczęte w Kijowie na nowo zabiegi o powtórzenie, najpierw w r. 1911, następnie w 1912 nareszcie w r. 1913 robót, które tak cicho, marnie i bez cienia korzyści dla kraju spełzły nad Dnieprem przed piętnastu laty, zastały o mało co zmienioną pod tym względem sytuację. Ani ścisłych danych statystycznych, ani wykazów cyfrowych, charakteryzujących obecny ekonomiczny stan naszego kraju — dotychczas nie posiadamy. Starania te i zabiegi początkowe, wykazały się przede wszystkim od pierwszego roku wygórowaną swą trudnością. Na samo wyszukanie miejsca zabudowania wystawy, komitet tymczasowy wystawy poświęcił dwa lata.

Chodziło najpierw o zdobycie ogrodu Cesarskiego, ażeby stworzyć panoramę, któraby przynajmniej

dorównała nadmorskim krajobrazom wystawy Odeskiej. Rada miasta Kijowa, zazdroszcząc widocznie inicjatywie prywatnej, obywatelskiej, postawiła veto przeciw ogrodowi. Wówczas komitet prowizoryczny skierował swą uwagę na położony za miastem „Lasek Kadecki“. Ale tu znowu sama nazwa miejscowości stanęła niejako na zawadzie, władze kierując się racjami wojskowymi (sąsiedztwo korpusu Kadetów) przyzwolenia swego na ów lasek odmówiły. W rezultacie między miastem a komitetem wystawy, na którego czele stał od początku powszechnie znany i szanowany ziemianin podolski Aleksander hr. Tyszkiewicz, zawiązały się rokowania kompromisowe, które doprowadziły do zgody co do miejsca przyszłej wystawy.

Stanie ona na placu Troickim.

Obecnie przestano nareszcie myśleć i rozprawiać o wyborze miejsca pod wystawę. Dziś kiedy jest już ona stanowczo i nieodwołalnie zdecydowana, czy nie należałoby pomówić o jej charakterze i znaczeniu chociażby okolicznościowo ale o ile podobna przedmiotowo, faktycznie, w oświetleniu korzyści oczekiwanych i do osiągnięcia możliwych?

Nie pozbawiona pewnej ciekawości i znaczenia jest sama organizacja komitetu wystawowego. W ostatnich czasach zaszły w nim znaczne zmiany, skutkiem tego, iż rada Kijowskiego Towarzystwa rolniczego, na której imię wydane było pozwolenie na urządzenie w Kijowie wystawy, zawiadomiła departament rolnictwa, że zdejmuje z siebie materialną odpowiedzialność za wystawę. Uznanie komitetu za jednostkę prawną, jako niezależnej instytucji w zasadzie jest możliwe, lecz połączone z tylu formalnościami i trudnościami, iż ze wszechmiar byłoby pożądanam, aby wystawę urządzić pod firmą jednego z Tow. miejscowych, ulegalizowanych przez rząd. Wówczas prezydium komitetu wznowiło pertraktacje z radą Kijowskiego T-wa rolniczego, która zgodziła się cofnąć swą deklarację, złożoną departamentowi rolnictwa o usunięciu się od udziału w wystawie, pod warunkiem, iż komitet przyjmie na siebie zupełną gwarancję deficytu wystawy. Ponieważ dotychczasowy komitet nie posiadał żadnych funduszy, okazało się niezbędnem stworzyć nową organizację finansową. Wówczas prezydium komitetu rozpoczęło pertraktacje z gronem osób, zainteresowanych w urządzeniu wystawy, i grono owe — złożone z ziemian, przemysłowców i finansistów z całego kraju, zgodziło się wziąć na siebie organizację wystawy, zamierzając skutecznie

to w sposób następujący: każdy członek komitetu przystępując do organizacji wystawy, zobowiązuje się pokryć ewentualny deficyt jej zależnie od ilości podpisanych przez siebie udziałów do sumy 2 tys. rb. na udział. Nowy komitet ma zawrzeć z Kijowskim T-em Rolniczem umowę rejentalną, na mocy której całkowita odpowiedzialność za wystawę, a także zupełne kierownictwo nią, należy do nowego komitetu. Rada Towarzystwa porozumiewawszy się z przysłymi członkami komitetu przystała na wszystkie powyższe warunki. Następnie dotychczasowy komitet wystawy powziął uchwałę następującej treści: uznając, iż wszystkie powierzone komitetowi czynności, są już wykonane komitet składa swe mandaty, powierzając zarządowi wystawy doręczenie nowemu komitetowi wszystkich spraw wystawowych. Oprócz tego komitet uchwalił wyrazić przez specjalną delegację wdzięczność naczelnikowi kraju za popieranie projektu wystawy w Kijowie, oraz podziękować prezesowi wystawy, hr. A. Tyszkiewiczowi za czynności organizacyjne.

Obecnie nowy komitet podjął się urządzenia wystawy na powyższych warunkach. Do listy udziałowców zapisało się dotychczas 31 osób, a prócz tego od 18 osób nie otrzymano jeszcze ostatecznej odpowiedzi. Uchwalono uważać listę po otrzymaniu odpowiedzi od wskazanych 18 osiemnastu osób za zamkniętą i dalsze kompletowanie komitetu dokonywać przez głosowanie tajne, poddając pod nie tych wszystkich kandydatów, którzy zgodzą się wziąć na równi z innymi członkami komitetu udział w finansowaniu i organizacji wystawy.

Ilość członków zarządu określono 7-iu; będzie się on składał z prezesa, 3 wiceprezesów i 3 członków zarządu.

Wystawy uogólniając i ogniskując rozproszone gałęzie wytwórczości krajowej dają, i dawać powinny miarę naszego w danym momencie, dobrobytu kulturalnego i naszych uzdolnień gospodarczych na całym obszarze ziem, na których nietylko sami siedzimy, lecz z którymi stosunki zamienne utrzymujemy stale.

Niestety, dotychczasowe nasze wystawy, ograniczające się jedynie zewnętrznym ugrupowaniem poszczególnych działów przedsiębiorczości ekonomicznej, nie pozostawiały po sobie żadnego śladu jakiegokolwiek organicznej spistości, pomiędzy luźnie rozbitymi gromadami i dziedzinami pracy zbiorowej — nie dają możliwości pochwylenia jakiegokolwiek przewodniej kierowniczej wijącej się poprzez poszczególne gałęzie produkcji tak rolnej jak i przemysłowej.

Najprzenikliwszy rzut oka na naszą wytwórczość na wystawach nie zdołałby wykryć i zazna-

czyć, gdzie działamy z planem i namysłem, a gdzie podążamy na oślep, z dużym zazwyczaj marnotrawstwem sił i środków.

A wszakże, w zasadzie i teoretycznie, wystawy lokalne przy umiejętnym ich oświetleniu, stanowią czynnik nader cenny w kulturalnym i ekonomicznym rozwoju kraju.

Poglądowo, dobitnie, zajmująco zaznajamiają ogół z najświeższymi rezultatami ekonomiczno-społecznych wysiłków nad podniesieniem, wzmocnieniem i uszlachetnieniem moralnych i materialnych warunków współczesnego życia.

Zaznajamiają wreszcie z rozwojem pomysłowości i wynalazczości na najrozmaitszych polach współczesnej praktyki technicznej, z wynikami dotychczasowych trudów i zabiegów w zakresie ekonomicznego odrodzenia kraju.

Zadaniem naszej wystawy jest — pedagogiczna ilustracja tych zdobyczy, tych wyników i rezultatów jakie samiśmy my i sąsiedzi nasi osiągnęli w szeregu lat poprzednich.

To rys zasadniczy, charakteryzujący i cechujący zadanie każdej wystawy, nie chcącej poprzestawać na samych tylko blaskach powierzchownego popisu.

Propaganda i propaganda. Rys ten musi być najmocniej podkreślony w programach, projektach i namysłach inicjatorów i kierowników przedsięwzięcia, które nabiera szczególniejszej wagi wobec manifestacyjnie widocznego gospodarczego upośledzenia naszego kraju wobec odłogu i zapuszczeń naszych fachowych w takich nawet elementarnych zakresach działalności społecznej lub prywatnej, które na zachodzie oddawna weszły w krew i kość postulatów powszechnego użycia.

My musimy energicznie zabiegać i walczyć o takie nawet niewątpliwe zdawałoby się pewniki doświadczeń życiowych, jak te, które na Zachodzie stanowią oddawna dostojeństwo i zaszczyt oświaty u podstaw społecznych, medycyny, higieny, prawa, że już pominiemy piekącą potrzebę intensywniejszej uprawy gleby, rozpowszechnienia i rozwoju przemysłu rolnego, potęgowania i asenizacji handlu, kredytu i t. p.

I ta nasza pod tym względem wyjątkowa niemiła sytuacja, narzuca wystawom naszym swój właściwy charakter, odrębny koloryt, i wymaga przede wszystkim jak najbardziej zdecydowanej, bo też i ostro odpowiedzialnej derektywy.

Nie znaczy to jednak abyśmy ślepo w pochopności naśladowali Zachód Europejski. Tam wszelkiego rodzaju wystawy, są jakby naturalnym tylko uzupełnieniem powszedniej, codziennej, i głęboko rozwiniętej działalności społecznej.

Tam, wystawa to manifestacyjny i odświętny

objaw owej działalności powszedniej i powszechnej, posiadający nieustannie teoretyczny i naukowy komentarz w życiu potocznym: w szkolnictwie i czasopismach zawodowych, w czujnej i regularnej trosce organów urzędowych o dobrobyt społeczny, wreszcie i w najbardziej udostępnionych, spopularyzowanych źródłach informacji statystycznej zarówno oficjalnej jak i prywatnej.

Na Zachodzie, czuje się każdy na dorocznych czy nadzwyczajnych wystawach jak we własnym domu.

U nas odwrotnie, bywają one najwyżej jakimś bazarem cudowności, z końca w koniec podsztytym, nieświadomością i nieznajomością istotnego stanu rzeczy. Najprostszy mechaniczny przyrząd, najpospolitsza wynalazczość techniczna, łatwo tu uchodzić mogą i za okaz genialności — i za... szarlatanerię.

Staranne, umiejętne a w porę przed wystawą 1913 r. sporządzone *vade mecum* przemysłu i gospodarstwa rolnego u nas, zapobiegłoby wszelkiej w danych zakresach dwuznaczności, wszelkiemu podstępemu najgrawaniu się z dobrej woli i wiary czy to wystawcy, czy gościa zwiedzającego, pokazując mu jak na dłoni wartość pojedynczego i zainstalowanego przedmiotu na tle całości pewnego działu, pewnej gałęzi współczesnego rozwoju ekonomicznego.

Nie tylko u nas, ale i zagranicą wystawa wszelka — uwidacznia w najlepszym razie jedynie to, co kraj lub naród faktycznie posiada; nie pokazuje i nie może pokazać tego czego się nie ma, a co najczęściej jest najpotrzebniejsze i najważniejsze. W społeczeństwach o kulturze wyższej cieszących się pełnią rozkwitu i samodzielności deficyty pomienionego rodzaju sprowadzają się do nic nieznaczających rozmiarów. Przeciwnie dzieje się w krajach upośledzonych, wymagających — jak u nas przedewszystkiem — i najpilniej załatania luk, zaspokojenia zaległości, zaorania odłogów. Tu w podobnym całokształcie zjawisk cywilizacyjnych — najwspanialsze wystąpienie na widownię prezentacyjną, częściej zaćmi i olśni rzeczywistość smutną, niż ją bez współdziałania poszukiwań teoretycznych, przygotowawczych — oświetli i zilustruje celowo pożytecznie.

Powtórę, wystawa każda zgromadza wytwórczość

wyłącznie przednią, przodującą i zasobną. Kraje zaś i społeczeństwa uboższe, wyprzedzone przez współzawodników i sąsiadów szczęśliwych na drogach oświaty, postępu, dobrobytu, stoją wzmacniają się i rosną głównie przedsiębiorczością średnią i małą, dla których postęp na „igrzyska“ odświeżone jest albo utrudnione, albo zgoła niemożliwe.

Tu nie chwilowa demonstracja, lecz cicha i sprawna nauka decydować jest w stanie o dalszych przeznaczeniach pracy owocnej, pożądanej i w danych warunkach zhawiennej.

Na uprzednim naukowo wszechstronnie umotywowanym prospekcie zapowiedzianej na rok przyszły rolniczej i przemysłowej wystawy Kijowskiej — zależałoby ze względu na konieczność uświadomienia ogółu, jak ów nasz przemysł i rolnictwo wyglądają w swym stanie zwyczajnym, codziennym.

Jeśli się przytem zważy, że do urządzenia wystawy naszej przyczyniają się fundusze publiczne, (miasto, ziemstwa, tow. rolnicze ect.), — wypadnie położyć na tem mocniejszy jeszcze nacisk na konieczność jak najbardziej produkcyjnego tych środków użycia.

Znaczy to, że kardynalnem zadaniem wystawy powinna być istotna kulturalna pomoc najszerszym warstwom naszego społeczeństwa.

Naturalnie łatwiej o wiele zdobyć się na prestrogi i uwagi niż na wykonanie.

To też bynajmniej nie utrzymujemy żeby rola inicjatorów wystaw była lekka do spełnienia. Przeciwnie wiemy aż nadto dobrze, że mają oni przed sobą pracę nad wyraz skomplikowaną trudną, męczącą i uciążliwą. Ale też za to i nad wyraz owocną.

Wystawa obejmuje głównie południe Państwa. Ogniskuje się w tym obrębie 75% cukrownictwa całej Rosji, 70% przemysłu węglowego, 73% dobywanej rudy żelaznej, 53% metalurgji, 46% handlu zbożowego, 90% pszenicy, 80% jęczmienia... jest z czem wystąpić, jest co pokazać.

To też niewątpliwie dobre, a nawet wspaniałomyślne intencje inicjatorów i kierowników wystawy przyszłej — skierują tak ważną i zasadniczą sprawę organizacji jej na tory zgodne z rzeczywistym położeniem jej i istotnymi potrzebami ekonomiki krajowej.

TAD. MICH...



SZIRWA.

(Z podań ludu żmudzkiego).

W lasach Żmudzkich, niedaleko wsi Kurto-wiany, znajduje się jezioro, noszące nazwę Szirwa. W żmudzkiemu języku znaczy to: „koń szpak“. Nazwę tę otrzymało jezioro od zdarzeń zaszłych nad brzegiem jego wód.

Przedarłszy się przez drzewną gęstwinę i mur splątanych kłaczy, najniespodziewaniej u podnóża pagórka niezwykle roztacza się widok.

Jezioro pokrywa powierzchnia ciemna, niemal czarna, wody kołyszają się, poruszane powiewem wiatru, lub drzemią senne, kryjąc wielką głębię. Miarowym pluskiem liżą stopy smukłych świerków, które wiankiem okalają je z trzech stron, zdają się wrosłe w toń. Stoją, niby płaczki nad grobem otwartym, przytulone konarami do siebie, z krzyżami strzelającymi ku górze u wierchołków, jak owe pomniki cmentarne, niosą wieść żalobną przebytych kolei istot żyjących niegdyś nad temi wodami, o których opowiada zachowana w pamięci żyjących następująca legenda.

* * *

Nad jeziorem przed laty stała niewielka chatyna, a w niej mieszkała samotna wdowa Dorotas, żona podleśnika. Za ledwie parę miesięcy żyła z mężem, który, zapadłszy na złośliwą gorączkę, umarł.

Chata owa, rzucona wśród lasu, nad brzegiem głębokiego jeziora, oddalona była od wsi i ludzkiego otoczenia.

W lecie życie wśród tej głuszy było przykre, lecz skoro nastały jesienne słoty, a wilgoć wnikała w szczeliny niedostatecznie zaopatrzonego domku, wtedy stawało się nie do zniesienia.

Dorotas siadywała w lecie przed chatą i każdą chwilę wolną od pracy spędzała, patrząc w tę bezdeń wodną, która przejmowała lękiem, a jednak więziła myśli, uwagę.

Z oparów wieczornych wiły się różne postacie, których odbicie rysowało się na ołowianych chmurach. Najczęściej widziała wdowa wśród nich twarz męża, który z innego świata powracał na ziemię, aby ją pocieszać, darzyć opieką. Samotna kobieta zdala od ludzi szukała i znajdowała spójnię niewidzialną z ukochanym towarzyszem, który ją, niestety, zawczasem opuścił!

Czasami wdowa szła do wsi dla zarobku lub odniesienia tkackiej roboty, ale to jej przychodziło z coraz większym trudem, gdyż była brzemienią. Czekwała z niepokojem, co Bóg da. Pogrobowiec — będzie li syn, czy córka Bóg to wie? Kłopotowała się, czy wszystko szczęśliwie pójdzie, bo któż sierotę poratuje skoro przyjdzie chwila krytyczna?

Nadeszły dnie krótkie jesieni późnej, coraz rzadziej przedzierało się przez splecione drzewa. Mgła nad jeziorem była tak gęsta, iż zakrywała wody. Las szumiał żałośnie, wieczorne chłody zamieniły się w coraz dotkliwsze przymrozki. Szybkim krokiem ku ziemi szła zima. Stroiła się w szatę białą, strząsała śniegi i szrony z królewskiego płaszcza swego na ziemię, a ku której stronie zwróciła wszechwładne berło, zamierało życie, w uścisku bezlitośnego mrozu gotowała żniwo dla śmierci. Kto mógł, bronił się potędze jej, tuląc się do ożywczego ognia.

Czasami do samotnicy, z niedalekiej leśniczówki, zaglądał stary Matyjas, leśnik, a widząc w oczach biedaczki skargę bezmierną, obiecywał z żoną zjechać.

Zbliżyły się święta Bożego Narodzenia.

W dzień Wigilii, dzień Święta Jezusieńka małego, który każdą sierotę przytuli i opieką otoczy, oboje staruszkowie, zabrawszy potrzebne zapasy i przyodziewek dla spodziewanego dzieciątka, zajeżdżali przed samotną chatę, właśnie w tej chwili, kiedy zakwiliło w niej dziecię — syn.

Było to chłopie, słabiutki, mizerne, nie rokujące długiego życia. Żona leśnika zakrzętała się w chacie, przywiezionymi zapasami posiliła położnicę, a nawet na noc przy niej została, aby nie było tak straszno biedaczce w tem pustkowiu.

Dziecko wkrótce do chrztu świętego podano, a oboje starzy byli mu chrzestnemi.

Dziecię otrzymało imię Stefanas.

Rósł chłopak, ale z latami podziwem przejmował każdego, kto go zobaczył. Niezwykle był cichy i smutny, zamyślony, nie taki jak inne dzieci. Bywało, usiadzie nad jeziorem i zapatrzy się w wodę, to i o świecie całym zapomni — nie myśli o posiłku i zda się, że w głębinie coś widzi, czego nikt nie dopatry, bo urywane rzuca wyrazy lub milczy uparcie. Czasem nasłuchuje: z lasu niesie mu wieczorna przęda, co drzew się czepia, brzęczenie wieczornego owadu, nić myśli pogrzebowych, wplata je w umysł dziecięcy, niesie niedosłyszaną opowieść, którą ono tylko rozumie, a czego nie powtórzy nikomu, nawet rodzonej matce.

— Pogrobowiec! — mówili ludzie — nic dziwnego, toć to może ojciec z za grobu doń gada, a słucha i rozumie, czego ludzie zrozumieć nie mogą, głusi są na taką mowę, ale chłopiec to rozebrać potrafi. Dziwne dziecko.

Smutno jednemu żyć w pustce.

Matka przywykła nie dziwota, ale że dziecko mogło przenieść takie osamotnienie i nie biedz do innych dzieci do wsi, nie dzielić ich zabaw i śmiechów, to niezrozumiałem było dla wszystkich.

Już Stefanas miał lat dziesięć, kiedy dnia jednego, zimowego wieczoru, jeszcze nie pokładii się do snu w chacie wdowy, pod oknem dało się słyszeć rżenie konia.

Stefanas, a raczej Stefaniuk, jak go nazywała matka, porwał się z ławy.

— Ach! — zawołał z radością — to koń rży, matulu, koń do nas przyszedł, wyśnił mi się, jako żywo w nocy, tatulo mi go przysłałi.

Zdumiała się matka i na chłopca spojrzała.

Dziwaczy, myśli, ale rżenie po raz drugi głośniejsze się odzywa. Noc ciemna, matka z obawą namyśla się, czy wyjść przed chatę, ale już ją syn wyprzedził. Za drzwi wybiegł. Przed chatą stał żrebak, szpak, krępy, na niskich nogach z grzywą długą i niezwykle długim ogonem, jak to na Żmujdzi bywają konie.

Chłopiec niby do dawnego znajomego przypadł, ramieniem mu szyję otoczył i główkę kędzierzawą do łba końskiego przytulił.

— Mój ty, mój Szirwo, przyszedłeś nareszcie, tęskniłem za tobą, Kosiu mój, czekałem!

A koń z pieszczotą wilgotne wargi do główki dziecka przytulił, niby pocałunkiem je darząc.

Dziwny koń! Skąd wziął się ten nowy towarzysz ubogich mieszkańców chatyny? Niewiadomo, dość, że został jako ich własność, nikt się o niego nie upomniął.

Mijały lata. Syn wdowy w młodzieńca wyrósł, miał lat siedemnaście, w usposobieniu jego jednak nic się nie zmieniło. Nie brał się do żadnej cięższej pracy, na konia swojego skoczył, do lasu gnał bez wytchnienia, gdzieś jeździł, powracał zmęczony, a i koń nieraz okryty pianą, z potu ociekał. Gdzie jeździł? nikt nie wiedział.

Wdowa próbowała konia zaprządz. Sprowadziła ze wsi wózek, myślała, choć chrustu przywiezie na zimę, ale koń, powolny na zawołanie Stefaniuka, rwał postronki, niby słabe nici na kawałki i szalał, wędziła na siebie założyć nie dał, niewoli nie znosił. I wtedy z nozdrzy mu krew ciekła, tak się zapamiętał, ten łagodny, dobry konik. Zaledwie jednak chłopiec do niego przemówił, łagodniał i pozwolił się jak dziecko prowadzić.

— Dziwny koń! — powtarzano — nie taki jak inne, może w nim dusza zakłeta pokutuje.

Na leśniczówce oboje chrzestni pomarli, nowi nieznanomi ich miejsce zajęli. Wokoło mieszkańców chaty nad jeziorem coraz większa była pustka. Dorotas postarzała przed czasem, zgarbiła się spospępniała, nie dziwota, żyć z takim synem dziwakiem. Ani on pomoże matce, ani nie porozmawia po ludzku, tylko swoją miłością darzy nieme stworzenie. Rzeczywiście tak było.

Stefaniuk nic, prócz konia, około siebie nie widział, latem siedział opodal, kiedy zwierzę się pasło na polance w lesie, zbierał paszę na zimę, cesał go, holubił, pieścił, zda się porozmawiał z nim, do ucha szeptał, a Szirwa uszami strzygł i do chłopca się kwapił.

Dziwny to był związek pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem.

Ludzie patrzyli i głowami kiwali.

Matka dziwiła się również i nieraz mówiła do Stefaniuka:

— Synu, toć ty lepiej chyba miłujesz Szirwę, niżli rodzoną swoją, cały czas z nim przepędzasz. Dziecko, małoż ci mojego kochania?

Stefaniuk się uśmiechał, ale na blade czoło występowała zmarszczka niezadowolenia, twarz pokrywał rumieniec.

— Moje kochanie inne dla ciebie, matulu, a dla niego „inne“, ale on mi miłszy, aniżeli wszyscy ci ze wsi ludzie, co o nas nie dbają.

Matka wiedziała, co ludzka opieka, nie dziwiła się synowi, powtarzała to samo, co inni.

— Ot, pogrobowiec, myśl jego goni za świąty!

Ale dla słabej kobiety praca była nad siły i ta samotność ją trawiła. Z każdym rokiem słabła, nikła, schła, nikiem ta samotna drzewina, oderwana od korzenia, od pnia rodzinnego.

Dnia jednego, kiedy syn powrócił z dzikiej zwyczajnej przejażdżki i wszedł do chaty, wionęła ku niemu cisza grobu, szedł szept śmierci. Oparta rękoma na stole, siedziała matka w zadumie, szklanym wzrokiem patrząc przez okno na jezioro. Na pytania i powitanie nie odpowiadała, a skoro syn ją za rękę ujął, aby zbudzić, sądząc, że drzemie, runęła na podłogę bez życia.

Śmierć przyszła cicho, bez cierpień, strachu i łez — w zaciśniętej dłoni trzymała jeszcze odzienię syna, które szyła.

Stefaniuk, w niemym smutku, ukląkł przy zwłokach, patrzył na twarz drogą swojej macierzy, wreszcie wielkim żalem przejęty, zaszlochał. Zrozumiał nareszcie, że jedyną istotę stracił, która go kochała nad wszystko.

Ludzie niewiadomo skąd dowiedzieli się o śmierci Dorotas. Szli jedni za drugimi do samotnej chaty na ostatnie pożegnanie.

Zdziwili się niemało, widząc jak Stefaniuk trumnę z desek zbijał i wszystko bez niczyjej pomocy zgotował. Szirwę, powolnego na jego rozkaz do do wózka zaprzął i przy śpiewie zebranej gromadki do kościoła, a potem na mogiłki powiózł.

Dziwili się ludzie, skąd taką siłę miał młody, że nie zawodził, nie płakał, choć boleść bezmierna wypisała na twarzy jego wyraz smutku, a oczy

zdały się ciemniejszymi i jeszcze bardziej nie patrzyły naokół.

Bez słowa pożegnania, z mogitek, konia od wózka odprzągnął, na niego skoczył i pognął w stronę rodzinnej chatki. Ciekawi dążyli za nim, zapytując, co teraz ten dziwny chłopiec uczyni, czy w samotni osiadzie?

Zaledwie zdążyli dostrzedz, jak Stefaniuk smutnym wzrokiem pożegnał chatkę, poklepawszy Szirwę po grzbiecie, na niego skoczył, i w głębinę jeziora wpadł, które otwarło się niby wrota cementarne na chwilę, poczem zasnuło czarnym nieprzeniknionym całunem, grzebiąc w swych nurtach syna wdowy i jego wiernego konia.

Odtąd jezioro otrzymało nazwę „Szirwy“.

Opowiadają, że na nowiu księżycy, nad brzegiem wód postać jeźdźca na szpaku błądzi około samotnej chaty, słysząc się też daje westchnienie rzewne, żal dziecka, które nie umiało odpowiedzieć na miłość matki równem uczuciem synowskiem.

MARJA KACZKOWSKA.

Upadek stajni wyścigowych.

W jednym z ostatnich numerów „Jeźdźca i myśliwego“, redaktor tego pisma p. Stanisław Wotowski, zastanawia się nad upadkiem polskich stajni wyścigowych i wyjaśnia jego przyczyny.

Zwraca to już od wielu lat powszechną uwagę, że nasze wielkie stajnie znikają z pola wyścigowego a miejsce ich zajmują w coraz pokaźniejszej liczbie stajnie rosyjskie, lub małe efemeryczne stajenki polskie. Lat temu kilkanaście mieliśmy stajnie tej miary, co L. Grabowskiego, L. hr. Krasieńskiego, J. U. Niemcewicza, J. Reszkiego, W. Mysorowicza, A. hr. Potockiego, ks. Lubomirskich, M. hr. Zamoyckiego, H. Blocha, S. Sonenberga i innych; dziś ze wszystkich tych stajen, prócz kruszyńskiej, pozostało tylko wspomnienie, a wraz z ich upadkiem, obniżył się także poziom hodowli. Stado sernickie zredukowane zostało do połowy, stada w Starej Wsi, Łęczynie, Kijanach, Łosiu przestały zupełnie istnieć, stado w Krasnem sprzedaje wszystkie źrebięta do Cesarstwa.

Miejsce tych wszystkich wygasłych stad, zajęta średnia stadnina M. Bersona w Lesznie, i duże stado rosyjskie hodowców E. i M. Łazarewów ze Starej Wsi, którzy znakomitą część swych koni włączają do stajni moskiewskiej, lub sprzedają je Głównemu Zarządowi Stadnin i bliższej łączności z naszą hodowlą nie mają.

Upadek poważnych stajni polskich oddziałal bar-

dzo niekorzystnie na hodowlę koni w Królestwie, bo wielkie stajnie, np. stado sernickie w lubelskiem, wywoływały zakładanie mniejszych stajni pełnej krwi lub półkrwi.

Jakież są powody tego upadku stajni polskich?

„Wpłynęły na to — pisze p. St. Wotowski — bez zaprzeczenia fatalne zbiegi okoliczności — śmierć trzech najzasłużeńszych, najczęściej zamiłowanych hodowców: J. U. Niemcewicza (1900 r.), L. hr. Krasieńskiego (1895 r.) i L. Grabowskiego (1903 r.) — śmierć (1901 r.) przyczyniła się też do całkowitego zwinienia szlachtetnego stada W. Mysorowicza w Łosiu i wskutek śmierci (1905) zwinione zostało stado w Jabłonie A. hr. Potockiego. Oprócz tego smutnego zbiegu okoliczności, niezależnych od woli człowieka, inne, młodsze znów, stada, upadały pod wpływem zawikłanych interesów. Z przyczyn „wewnętrznych“, jeżeli się tak wyrażę, zwiniona została stajnia wyścigowa, a następnie i stado M. hr. Zamoyckiego, a niedawno ten sam kryzys napiętnował się naprzód na stajni, a później stadzie p. J. Reszkiego, które zyskało sobie zasłużony rozgłos — warunki zaś materialne przyczyniło się, zmusiły do zamknięcia stajni w Łęczynie i Kijanach. Ale trzeba prawdziwie nieszczęścia, żeby tyle „trafów różnorodnych“ zbiegło do jednego mianownika i wywołało bolesny kryzys.

Jako powód zniechęcenia do dalszego prowadzenia stajen, lub otwierania nowych, podaje wielu niebywałą supremację jednej stajni, supremację tak wielką, jakiej się nie widzi na żadnym torze europejskim i ciągnącą się już przez cały szereg lat. Zjawisko to jest nazbyt nam znane, żeby należało się tutaj dłużej nad niem rozwodzić — ale, stwierdzając raz jeszcze tę „niebywałą przewagę“ jednej stajni, czyż ustępując jej z drogi, składając przed nią broń bez walki, wpłynie się na zmniejszenie jej powodzenia? — zdaje się, że skutek będzie wprost przeciwny. W tym roku można już tę abstynencję można zaznaczyć; gdy największa polska stajnia rozdzielając swe konie na dwie części, osłabiła swe siły — dominująca stajnia (E. i M. Łazarewów, przyp. red. „Wsi“) osiągnęła sumę wygranych nagród, do tej pory jeszcze niebywałą, 330 tysięcy rubli! Trzeba przyznać, że rosyjscy sportsmeni mają więcej zaciętości, odporności — tam nie kapitulują L. Mantaszew, D. Wedernikow, S. Nazarov, W. Malicz i inni; jak mogą szarpią olbrzymią stajnię i chociaż jej nie podkopują, coś zawsze urywa się, coś na kłach zostaje. Więcej takich stajen — jeszcze tak niedawno na czele ich można było postawić stajnię kruszyńską — a szanse, chociaż względne, przy odpowiednio i umiejętnie ułożonych programach, mogą się wyrównać.“

Horoskopy naszego rynku nasion na rok 1912.

Rozwijająca się coraz silniej, postępową produkcją rolniczą kraju naszego, dążąc po bitym gościńcu teorii o zwiększeniu wydajności warsztatów rolniczych, doszła już od pewnego czasu do rezultatów zupełnie określonych i coraz mniej zależnych od okoliczności i warunków elementarnych klimatu. Zwłaszcza produkcja nasion rolniczych, jak konicznej, tymotki i innych pastewnych oraz motylkowych jak: wyki, peluszek, łubinu a następnie, buraków cukrowych i pastewnych wyrobiła sobie już odpowiednią markę i popyt na rynkach zagranicznych. Produkcja ta w kraju naszym, na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, stanowi jedną z poważnych gałęzi wywozu, potrzeby krajowe bowiem spotrzebowują już dziś zaledwie część tego, co w tym kierunku polska ziemia produkuje. Niejednostajność jednak, a nawet zmienna bardzo skala klimatycznych i naturalnych warunków, w jakich produkcja rolnicza się odbywa, wytwarza nie tylko przeróżne fluktuacje cen na rynkach nasiennych, lecz także uzależnia ściśle zagraniczny popyt na nasz towar. Dla tego firmy krajowe zajmujące się u nas skupem, pośrednictwem i handlem nasion rolniczych, muszą dokładnie zaznajamiać producentów rolnych u nas ze stanem koniunktur handlowych zagranicą i powinny czynić to dość wcześnie, by właśnie producenci owi mieli dość czasu kampanię swej wytwórczości do zapotrzebowania rynków wywozowych przystosować.

Wiosna jest ową główną i jedyną prawie porą skalkulowania produkcji nasiennej we właściwym na bieżący sezon kierunku. Dla tego właśnie przed nadejściem tej pory rzeczą konieczną jest zdać sobie sprawę z obecnego stanu rynku nasiennego i jego przypuszczalnych na rok bieżący zapotrzebowań.

Znana z rozległej i pożytecznej swej dla rolnictwa naszego działalności firma „Alfred Grodzki“ w Warszawie, zwróciła się właśnie do nas, uważając, że wydawnictwo nasze rozchodzące się przeważnie w sferach ziemiańskich odpowiednim będzie pośrednikiem dla zakomunikowania ogółowi rol-

niczemu szeregu wskazówek, które powinny w r. b. normować krajową produkcję nasion.

Ubiegły rok 1911, zaznaczył się w rolnictwie nie tylko naszym lecz wogóle europejskim, a nawet i amerykańskim klęską suszy. Wpłynęło to ogromnie na zeszłoroczny zbiór nasion. Konieczyna np. czerwona, stanowiąca zwykle ważny produkt wywozu dopisała w tym roku dobrze na Litwie a szczególnie w Królestwie, które w sezonie bieżącym może pochwalić się wyjątkową plennością ziarna, chociaż z powodu ogromnych upałów większość partii jest silnie zanieczyszczona baką, kolor natomiast ziarna jest w tym roku niezwykle piękny, dzięki właśnie wysokiej stałej temperaturze, dozwalającej na wykształcenie się ziarna i bardzo dodatnio oddziałującej na barwę nasion.

Wręcz coś przeciwnego skonstatować należy na Podolu, Wołyniu i Ukrainie, gdzie nadmierne opady przyczyniły się w tym roku do wyjątkowo złego urodzaju konieczny tak pod względem ilościowym jak i jakościowym. Konieczyny z tamtych okolic odznaczać się zwykły bardzo pięknym i wyrównanym ziarnem i urodzajem, zależnie od wpływów atmosferycznych, wynoszącym od 6 do 12 i więcej pudów w tym jednak sezonie urodzaj tych nasion nie przenosi 2 do 3 pudów z morga, a są majątki, w których przy rozpoczętej młócce otrzymano rezultat zaledwie $\frac{1}{2}$ puda z morga i z tych powodów młocki zaniechano zupełnie. Samo ziarno jest przytem drobne, niewykształcone, niejednolite, o kolorze żółtawo-brunatnym i bardzo mało jest partii o odcieniu fioletowym, tak cenionym i poszukiwanym przez odbiorców zagranicznych.

W pozostałej Europie mają zbiory średnie: Niemcy, Czechy, Anglia, Włochy, oraz Francja, zbiór której szacują na niżej niż średni. Produkcja tych krajów wystarczaby prawdopodobnie na pokrycie ogólnych zapotrzebowań, gdyby nie Ameryka, która drugi już rok z rzędu zapisuje zupełny nieurodzaj konieczny i która już wczesną jesienią porobiła ogromne zakupy tych nasion w Europie, i obecnie jeszcze występuje, jako poważny odbiorca i zaopatruje się ciągle w te nasiona przez rynki Hamburga, Szczecina, Królewca i Gdańska. Ameryka, jak stwierdzają to dane statystyczne,



BIELIZNA
DAMSKA
SKROMNA
WYKWINTNA
CAŁKOWITE WY-
PRAWY SŁUBNE

POLECAJĄ
BRACIA **JABŁKOWSCY**
WARSZAWA BRACKA 23
PRÓBY I KATALOGI BEZPŁATNIE

*Magasin
Français
G. Bargoin
Bijoux de Paris*

Varsovie
Nowy-Swiat 45

Najpierwsza krajowa fabryka **POMP** 42 wyższe nagrody na wystaw. w Europie i Ameryce
Sikawek, Narzędzi ogniowych
i Aparatów assenizacyjnych

Józef Troetzer i S^{KA}
Egzystuje od 1842 roku

w Pruszkowie
Biuro w Warszawie
ul. Hr. Berga 2

wywiozła z Europy w ciągu ostatnich czterech miesięcy podobno około 60,000 worków koniczyny, nic zatem dziwnego, iż sezon dla tych nasion rozpoczęto cenami wysokimi a tendencja ta, szczególnie dla wyborowych gatunków, których coraz to mniej widzieć się już daje, jest zwykłą i bardzo być może, iż ceny koniczyny czerwonej z rozpoczęciem właściwych zakupów przez Ziemian mogą silnie pójść w górę, tembardziej, iż większość omłóconych partii z powodu sprzyjających warunków atmosferycznych została wcześniej omłóconą i dawno już sprzedaną resp. wywiezioną zagranicę.

To samo da się powiedzieć o koniczynie białej i tymotce, ceny których doszły w tym roku do niebywałej wysokości, a to głównie z tej przyczyny, iż Ameryka, jak wspomniano wyżej, z powodu zupełnego nieurodzaju tych nasion, zmuszona jest pokrywać swoje zapotrzebowanie w Europie.

Przy tej sposobności należy też zwrócić uwagę rolników naszych na zaniedbaną u nas produkcję nasion traw pastewnych. Za nasiona traw płacimy corocznie zagranicę dziesiątki tysięcy rubli, które doprawdy mogłyby zostać w kraju, gdyby produkcja tych nasion weszła raz nareszcie na poważniejsze tory, przysparzając tem samem pewny i spory dochód Ziemianom; takie np. trawy, jak rajgrasy angielski, włoski, francuski, różne odmiany kostrzewy, wiklina etc., byleby produkcja ich była prowadzoną racjonalnie, na stały i pewny zbyt zawsze liczyć mogą, należałoby dla tego zastanowić się poważnie nad rozwojem tej produkcji, przynoszącej bądź co bądź pokaźne zyski.

Nasienie buraczane, zwłaszcza buraków cukrowych, w r. b. poszukiwane jest też na wagę złota. Ogromny nieurodzaj w Niemczech wytworzył na te nasiona szalony poprostu popyt. Całe sfery agentów handlowych rzuciły się w tym roku z Niemiec na Królestwo, Wołyń, Podole i Ukrainę wymiatając ztamtąd gdzie i co się tylko dało. Nasienie buraków cukrowych, pomieszane z pastewnymi, stare dwu i trzyletnie zapasy, odpadki nawet wszelkie zbierano skrzętnie nie targując się o cenę i wywożąc to wszystko zagranicę. We Francji i w Niemczech nasienie buraczane doszło do cen kolosalnych. Polska, która to nasienie wywozi, ma znów widoki doskonałego zbytu jego w r. b. — tem większe, że w Niem-

zech i Francji skutkiem suszy zmarnowało się bardzo wiele wysadków buraczanych, tak, że kraje te nasienie własne będą miały dopiero z wysadków zbioru 1912 r. zatem dopiero w jesieni r. 1913.

U nas, przeciwnie, wysadków z r. z. zakopcowano dosyć dużo i zbiór nasienia w r. b. może być dobry, a niezależnie od tego jaki będzie, ceny nasienia buraczanego (zarówno cukrowych jak i pastewnych buraków) w r. b. będą prawdopodobnie również wysokie. Rolnicy nasi powinni na to zwrócić wyjątkowo pilną uwagę. To samo odnosi się do marchwi, bardzo drogiej obecnie i bardzo poszukiwanej. Ceny tych nasion idą ciągle w górę.

Ze względu na tak bardzo zwiększony popyt na te nasiona w tym roku, należy też przy siewie z wiosną r. b. — o ile się niema własnych — bardzo bacznie zwracać uwagę na to, z jakich źródeł się te nasiona do siewu bierze. Jak powiedzieliśmy wyżej zabierano od producentów w tym roku przeróżne wysiewki i poślady, które mieszano z nasieniem dobrem w braku takiej ilości jego, która odpowiadałaby zapotrzebowaniam. Skutkiem tego łatwo bardzo tego roku kupić nasienie mocno podfałszowane, z którego zbiór może być bardzo niepewny. Tylko zatem u pierwszorzędnym, znanych z solidności i dających zupełną gwarancję firm zaopatrywać się w nasiona należy.

W rządzie nasion zbóż jarych, poszukiwanych zwykle z wiosną na szczególniejszą uwagę zasługują odmiany szwedzkich, jęczmionów i owsów, produkowane tam selekcyjnie, pod bardzo ścisłą kontrolą, przyczem rząd subwencjonuje tę produkcję.

Do najcenniejszych i najlepszych do aklimatyzacji dla naszych warunków odmian należy tu: jęczmień oryginalny szwedzki „Hannchen“ (Hanusia), dojrzewający wcześniej i dający bardzo duży plon, zwłaszcza na glebach ciepłych z domieszką wapna. W r. z. w maj. Szczekarków g. Lub. u p. Kle-niewskiego, znanego rolnika, dał on rezultat przewyższający o 6 korcy na morgu wszystkie inne dotychczas tam siewane odmiany. Na bacznie również uwagę zasługuje jęczmień Hanna, orygin. morawski, znakomicie wytrzymujący susze; odmiana ta zebrana w bardzo sprzyjających warunkach atmosferycz-

L. LIPIŃSKI

Warszawa
Plac Teatralny № 7
Telefon 75-12

MAGAZYN I FABRYKA
WYROBÓW JUBILERSKICH

Brylanty, Rubiny,
Smaragdy,
Szafiry i Perły.



NASZE DWORY

(Album „Wsi Ilustrowanej“).

Kilkadziesiąt plansz z wszystkich dzieł. Oprawa skórzana. Do nabycia w redakcji i we wszystkich księgarniach.

Cena rb. 2, z przesył. rb. 2,25.

nych, odznacza się w tym roku wyjątkową pięknnością ziarna, które, jak wiadomo, bardzo poszukiwane jest przez browary. Z owsów wyróżniają się szwedzkie: „Ligowo“, „Hvitling“, „Probstajski“, „Zwycięzca“ i nowa, wspaniała odmiana, pod nazwą „Goldregen“ (Złoty deszcz). Dojrzewa on wcześnie, jest niewybredny co do gruntu, udaje się dobrze nawet na lekkich piaszczystych glebach, a wydatek tej odmiany w ziarnie jest ogromny.

Wśród buraków pastewnych szczególnie do naszych

warunków polecić można świetną odmianę oryginalnych szwedzkich buraków „Excelsior“ selekcji głośnego rolnika Weibull'a. Odmiana ta wyhodowana z buraków Eckendorfskich wyrasta nad ziemię $\frac{2}{3}$ wysokości kłębu, zapewnia tem łatwy zbiór i daje olbrzymi urodzaj przy wysokiej zawartości suchych substancji pożywnych.

Wszystkie te nasiona, jak również i inne, potrzebne do siewow wiosennych, są na składzie w domu handlowym „Alfred Grodzki“, w Warszawie.

S.

Dom polski nad Lemanem.

(Uzdrowisko wychowawcze).

„Nad wodą wielką i czystą,“ nad Lemanem, w uroczej miejscowości: Vevey, w Szwajcarii, osiadł lekarz polak, dr. Julian Gawroński, dobrze znany w Warszawie z działalności społecznej, z energii i zapału, jakie kładł zawsze w każde podjęte przedsięwzięcie.

Jakby go wołały istotnie „Lemańskiego jeziora fale“, nad którymi Rousseau tworzył „Nową Heloizę“ i kazał swemu bohaterowi być nauczycielem ludowym...

I polak, lekarz z wykształcenia, a pedagog z powołania, d-r Gawroński, poszedł tą drogą, którą wskazuje autor „Emila“, na łonie tej cudnej natury zapragnął stworzyć szkołę, nowy typ uczelni, pod nazwą „uzdrowiska wychowawczego“.

To „uzdrowisko“ nie znaczy wcale, aby w niem „dzieci chore“ kształciły się i wychowywały: to jest uzdrowisko duchowe, w którym uczniowie rozwijać mają swą duszę, zdala od złych czynników miasta, na łonie cudnej przyrody u stóp gór niebotycznych, przy blasku lazurów wód wielkich i czystych.

Umysł rozwija się tu obok ciała, a uczelnia d-ra Gawrońskiego wychowaniem leczy i jest szkołą higieny.

Szkoła tego lekarza pedagoga opiera wychowanie na wynikach wiedzy współczesnej o dziecko, w połączeniu z indywidualizacją, ponieważ zaś znajduje się w Vevey, stacji kli-

matycznej i środowisku kulturalnem pierwszorzędno znaczenia, oddziaływa tem silniej na swych uczniów.

D-r Gawroński wprowadza dziecko w bezpośredni i stały stosunek z naturą i z kulturą otoczenia, czemu współdziała praca samodzielną na świeżem powietrzu.

Na terytorjum położonem na 400 m. nad poziomem morza, obejmującym przestrzeń 30 tysięcy łokci kwadratowych, w pięknym ogrodzie wznosi się willa malownicza, obszerna, urządzona i utrzymana wzorowo, a w niej pod kierunkiem d-ra Gawrońskiego mieści się szkoła.

Myślą jego przewodnią było aby stworzyć placówkę polską dla dzieci polskich, któreby w otoczeniu tak idealnem, przy klimacie bardzo łagodnym, mogły się kształcić zagranicą nie zatracając nic z samodzielności, owszem potęgując ją tylko w sobie.

Dziecko polskie w szkole d-ra Gawrońskiego wszechstronnie się rozwinąć może. Kultura wyższa środowiska odbija się na jego psychologii, dając mu przytem wiedzę fachową.

Gospodarstwo w tej szkole uwzględnia w wysokim stopniu naukę ogrodnictwa (inspekty) pielęgnowanie drzew owocowych, co może mieć wielką doniosłość praktyczną, jeżeli się weźmie w rachubę przyszły rozwój ogrodnictwa w królestwie, oraz przygotowywanie miast-ogrodów.

BIURO MELIORACYI ROLNYCH ORAZ BUDOWY CEGIELNI I FABRYK DRENÓW.

WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 108 (róg Chmielnej), tel. 115-02. — Oddział: MIŃSK-LITEWSKI „HOTEL-GARNI“.

INŻYNIEROWIE:

S. TURCZYNOWICZ, A. PONIKOWSKI, W. TROJANOWSKI i E. OSTROWSKI.

KREDYT MINISTERJUM ROLNICTWA I TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO.



Lucyna Messal.

NAJLEPSZY
do
TAŃCA
to
PATHÉFON

bo gra czysto, głośno
i bez przerwy.

GŁÓWNY SKŁAD
ADAM KLIMKIEWICZ
WARSZAWA, WIERZBOWA 8

PENSYONAT

Natalji Trzecińskiej i Laury Walewskiej
w Warszawie

ul. Nowogrodzka 40, róg Nowo-Wielkiej, tel. 186-58.

18 frontowych, słonecznych, elegancko urządzonych
pokojów od Rb. 1.25 do 4 rubli dziennie.

KUCHNIA WYKWINTNA — SALON WSPÓLNY

Jadalny, table d'hôte i stoliki oddzielne

ELEKTRYCZNOŚĆ, WINDY

Blizko dworca kolei Warszawsko-Wied., postoiu karek
automobilowych, dorożek i przystanku tramwajowego.

Park zawiera w sobie okazy drzew należących do pasa podzwrotnikowego i umiarkowanego: buk, brzoza, rozmaitość drzew alpejskich i t. d.

Przed willą obszerny gazon, dwie pyszne magnolie, dwa filodendrony i inna bogata roślinność, nadaje całemu obrazowi pociągający koloryt i życie.

Dom, obrośnięty bluszczem, różami pnąciami i glicynją, wygląda jak zbiór zieloności, która rozwija się wszędzie, dzięki obfitości wody, dostarczonej przez świetne wodociągi.

Oczywiście wszystko jest skanalizowane, a światło elektryczne zaprowadzone, w najdalszym zaułku.

Stawek, zaopatrzone w rośliny wodne, daje pole do prowadzenia gospodarstwa rybnego.

O niczem nie zapomina oryginalny pedagog.

Wybrał on miasteczko, jako teren tej placówki szkolnej. Vevey jest małym miastem, ale jednocześnie w sobie dużo życia. Port na Lemanie daje sposobność zapoznawania się z handlem, dziecko może się tu oswoić kulturą nowożytną. Szkoły państwowe w mieście są wzorowe; muzeum, biblioteka, teatr, banki fabryki hotele, środki komunikacyjne różnorodne — wszystko to składa się na idealne środowisko prowadzenia nauki.

Położenie samo ułatwia podróże, wycieczki, taternictwo. D-r Gawroński ma zakreślone w swym planie bliższe i dalsze wycieczki ze swymi wychowancami, wiele sobie ztąd

obiecując pod względem zdobyczy pedagogicznych. Turystyka będzie tu szła w parze z nauką fauny i flory, z geologią i geografją.

Siły fizyczne ucznia będą się tu kształciły na równi z siłami umysłowymi, a przytem kształcić się będzie charakter i dzielność, energja, przedsiębiorczość, odwaga.

Hygiena i jej wskazówki będą stanowiły ważny czynnik wychowania w szkole d-ra Gawrońskiego.

Tu lekarz podaje rękę pedagogowi i udziela mu potrzebnych rad i informacji.

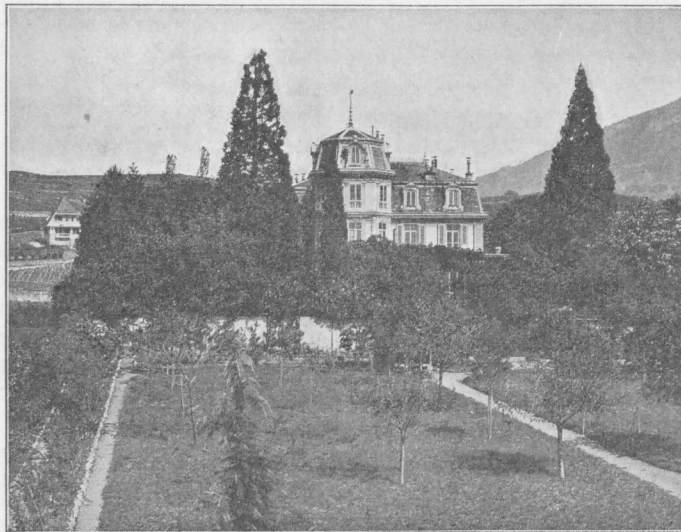
Jest to higiena idealnego domu polskiego. Estetyka harmonizuje godnie z charakterem narodowym siedziby.

Dbałość o wzgląd ostatni d-r Gawroński posunął do tego stopnia, że nawet służbę wprowadził z Polski. Po uciążliwych poszukiwaniach udało mu się zdobyć dwie inteligentne służące, rodem z Poznańskiego. Polki czystej krwi, a umieją przytem mówić po niemiecku i posia-

dają konieczną kulturę, nieodzowną do tego środowiska w jakim się Vevey znajduje.

Dwie te polki prowadzą gospodarstwo kobiece i zajmują się kuchnią, choć i tu oko czujnego kierownika pogląda codziennie i sprawdza o ile wszystko odbywa się według wzoru z góry zakreślonego.

Wszystkie warzywa pochodzą z własnego ogrodu, niemniej owoce: jabłka, gruszki, śliwki, poziomki, porzeczeki, agrest, wiśnie i t. d. Tylko mięso dostarczane jest z miasta.



Uzdrowisko wychowawcze w Vevey. Dom z najbliższem otoczeniem.

W. DUTKIEWICZ i S-ka

byli krojczy firmy: Janiszewski i S-ka

Warszawa, Szpitalna 12 (I piętro). Telef. 109-50

KOSTJUMY, OKRYCIA, FUTRA, SUKNIE WIZYTOWE ORAZ BALOWE

Zamówienia wykonywa się tak z własnych jak i powierzonych materiałów.

Polskie Biuro Leśne

Rs. Zdzisł. Lubomirski i S-ka, Warszawa, Żórawia 22, tel. 90-90.
Urządzenie gospodarstw leśnych, inspekcje i taksacje leśne. Komisowa sprzedaż lasów.

SKŁAD FABRYCZNY MEBLI GIĘTYCH

BRACI THONET

WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 141. TELEFON 20-29.

Kompletne urządzenia apartamentów, willi, teatrów, zakładów gastronomicznych, klubów, etc.
Wielki wybór gotowych salonów, jadalni, sypialni i t. p. na składzie.

B. RUDZKI

Marszałkowska Nr. 87.

POLECA

Najlepsze gramofony

Płyty w wykonaniu: Patti, Kochańskiej, Anzelmiego, Didura, Paderewskiego, Kubelika i w. in.

Kwiaty, które zdobią stół i salony, wyhodowane są na własnych zagonach.

W kuchni czystość panuje wzorowa, zresztą czystość ta jest synonimem ogólnego nastroju zakładu d-ra Gawrońskiego i nadaje mu piętno niezmiernie miłe i pociągające.

Sala pracy jest wielka o trzech oknach weneckich i przepelniona aromatem świeżych kwiatów. Sala jadalna leży pomiędzy dwiema oszklonemi werandami, które odświeżają powietrze: jedna weranda przeznaczona jest na oranżerję druga z leżakami — do kąpeli powietrznych.

Glicynie zaglądają przez okna do wnętrza tego domu, gdzie panuje ład, myśl zdrowa, zdrowie, piękno, szlachetność....

Pokoje sypialne są dopełnieniem tych idealnych zalet pomieszczenia młodzieży, która szczęśliwą nazwać się może, gdy ją d-r Gawroński przygarnie i w swej szkole umieści.

Bo pauze w niej niepodzielnie starorzemską zasadą: „Mens sana in corpore sano...”

AD. DOBROW.

Wystawa sportowa.

Program działu przemysłowego wystawy sportowej, mającej się odbyć w Warszawie, który stanowi uzupełnienie działów sportu i przemysłu sportowego obejmuje:

Silniki wszelkich systemów same i w zastosowaniu, grupy przemysłowe i rolne, grupy elektrotwórcze i motopompy, lokomobile i t. d.; pompy wszelkich systemów, sikawki, maszyny do obróbki metalów i drzewa; transmisje łożyska i koła; urządzenia zabezpieczające od nieszczęśliwych wypadków; maszyny rolnicze; higiena mieszkań: urządzenia kąpielowe, armaturę żelazną i brązową, ogrzewania centralne i inne; wentylację, odkurzanie, oświetlenie, wszelkich systemów lampy, zastosowanie elektryczności, gazu, nafty i t. d. do gospodarstwa domowego; elektrotechnikę; manufakturę gumową; spawanie wszelkich systemów.

Dział pod nazwą „Różne“ obejmuje:

Umeblowanie i urządzenie biur, kantorów, lokalów prywatnych i t. d.; maszyny do pisania i liczenia, przybory rysunkowe; optykę i fotografię; drukarstwo i litografię; prasę i literaturę ogólną; rzeźbę, dzieła sztuki nowoczesnej, antyki; rękodzieła przemysł ludowy, wyroby koszykarskie i t. d.; dywany, portjery; wyroby jubilerskie, zegarmistrzowskie, grawerskie; lustra, wyroby ze szkła, porcelany kamienia, terrakoty i t. d. instrumenty muzyczne; galanterję metalową, skórzaną i t. d.; perfumerję i kosmetykę; obuwie i odzież; wyroby cukiernicze, wody mineralne, napoje i t. d.

Za najgustowniej urządzone pawilony, warsz.

Koło Sportowe wydawać będzie specjalne nagrody w przedmiotach wartościowych, według uznania zwiedzającej wystawy publiczności.

Za wystawione eksponaty, na zasadzie orzeczeń specjalnie w tym celu powołanych komisji, wydawane będą dyplomy na medale: złote, srebrne, brązowe, oraz listy pochwalne.

GABINET ŚWIATŁO I ELEKTROLECZNICZY D-ra Juliusza Wiśniewskiego.

Ordynatora Warsz. Szp. Ewangelickiego.

Leczenie Światłem Roentgena, Kromayegera, Elektroliza etc. — Choroby skóry, włosów, paznokci i Weneryczne.

Zielna 29, telefon 165-85.

Z dziedziny kosmetyki i higieny.

ODPOWIEDZI I RADY.

Prenum. z Kalisza. Po goleniu najhigieniczniej wytrzeć twarz płynem Vesta — a krost żadnych nie będzie. Do usunięcia brodawki, przeszkadzającej przy goleniu, niech Sz. Pan zgłosi się do Kalotechniki, tam usuną ją elektrycznością bez pozostawienia najmniejszego śladu.

Z. M. Włosy myć mydłem Antrasolowem, oraz codzień nacierać Radiolem, a łupież zginie i włosy szybko rosnać będą.

Pani Marji. Otrąbki Silvia z wodą różaną Radjoaktywną doskonale konserwują cerę. Rozszczepiające się włosy wyleczy Ol. Hel.

Otylej. Herbata D-ra Daloffa oraz pigułki Oxylenowe, otyłość usuną w przeciągu trzech miesięcy. Obydwa te środki są dla zdrowia nieszkodliwe. Masaż Autowibratorem D-ra Johansena zapobiegnie tworzeniu się zmarszczek. Przed masażem nacierać twarz Kremem Radium. Dla usunięcia przykrego zapachu z ust polecam Elixir Radjowy jako najskuteczniejszy. Przeciw odmrożeniu Krem Eros.

Zmartwionej. Wągry usunie płyn Vesta. Myć się pe-rełkami alkalicznymi.

Wszystkie te środki wysyła za zaliczką Kalotechnika, Marszałkowska 116, telefon 16-73, oraz w Łodzi Spiess, w Krakowie Reim; we Lwowie Pawłowski, Akademicka 21; w Kijowie Jurotat; w Wilnie Gruzewski; w Sosnowcu Łęczkowski; w Lublinie Bernatowicz.

M-me LENA.

SPRZEDAŻ, KUPNO I DZIERŻAWY.

Wiadomość bliższa w Redakcji „Wsi Ilustrowanej“ Hoża 47.

1) **Do sprzedania dobra** w gub. Siedleckiej pow. Radzyńskim, przestrzeni 2,700 mórg, blisko kolei, dobrej glebie i kulturze; pałac, las, gorzelnia. Na dogodnych warunkach. Wiadomość w redakcji.

2) **Do sprzedania majątek** w powiecie Radzyńskim, gub. Warszawskiej, przestrzeni 420 mórg, 9 wiorst od kolei, bez serwitutów, obszerne i głębokie pokłady doskonałego torfu. Na dogodnych warunkach. Wiadomość w redakcji.

3) **Do sprzedania ośrodek** z rozparcelowanego majątku w pobliżu Częstochowy, przestrzeni 120 mórg, ziemia bardzo dobra, położenie ładne, rzeka, dwór obszerny i inne zabudowania. Wiadomość w redakcji.

POWSZECHNE TOWARZYSTWO ELEKTRYCZNE

KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE 16/18. ADRES TELEGRAFICZNY „ALGEM“.

Własne fabryki w RYDZE. Wszelkie Instalacje Elektryczne. Wielkie kłady materiałów elektrycznych.

**DOM BANKOWY
T. SZEMPLIŃSKI i S-ka**

WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT № 40.

Kupno — sprzedaż papierów procent., akcyj., asekuracja.
WSZELKIE INTERESY BANKIERSKIE.

50% OSZCZĘDNOŚCI OPAŁU

patent. MULTIPLIKATOR OGRZEWANIA usuwa wilgoć,
oraz Piece żelazne multiplikatorowe.

Dr. W. P. KŁOBUKOWSKI inż., Warszawa, Al. Jerozolimska 71, tel. 15-02.

FARBIARNIA PAROWA, PRALNIA CHEMICZNA w GROCHOWIE

CH. GEBER

FILJE: kóź, Zielna № 5. Częstochowa, II Aleja № 34.
MAGAZYNY w WARSZAWIE: Niecała № 9. — Sienna № 2a. — Chłodna № 18.
Nowy-Świat № 49. — Leszno № 4. — Dzika № 7. — Długa № 19. — Praga,
Bukowa № 32.



Żeby Panie zechciały policzyć ile pieniędzy wyrzucają bezpowrotnie na darcie bielizny, piorąc ręcznie i na koszty prania, wiedziałyby ile zaoszczędzą przy pomocy JOHNA maszyny do prania

„CAŁĄ PARĄ”
180,000 w użyciu.

Tow. Akc.

J. A. John

WARSZAWA
HORTENSJA 7.
MOSKWA
PIATNICKAJA 16.

„Dla Młodzieży”

Jednodniówka na rzecz Szkoły im. św. Stanisława Kostki. Do nabycia w redakcji „Wsi Ilustrowanej”. Cena rb. 1.

Magazyn ubiorów męskich **E. ZAREMBA** w Warszawie, Nowosenatorska 4
Telefon 147-00.

Hotel Europejski
w Warszawie

ZAŁOŻONY W 1855 ROKU

Najbardziej uczęszczany przez
□ □ □ □ Naszych Ziemian. □ □ □ □

SAMODZIAŁY

przyjmuje w komisową sprzedaż
na dogodnych warunkach.

WIADOMOŚĆ: Administracja
„Wsi Ilustrowanej”, Warszawa,
Hoża 47.

Biuro i Przedsiębiorstwo Meljoracyjne
INŻYNIERA

T. SKORACZEWSKIEGO

WARSZAWA, MOKOTOWSKA 59. TEL. 252-86.
Filja: Śrem, W. Ks. Poznańskie.

Na najdogodniejszych warunkach:

Drenowanie, od- i nadwanianie łąk, osuszanie błót, stawy rybne, kanały, regulacje rzek, projekty eksploatacji torfów, analizy gleby, płodowizny, pomiary gospodarcze.

1912 **N** 1912

OWOŚĆ!

JEGO ŻARŁOCZNA MOŚĆ —
BURAK...

SZKICE UKRAIŃSKO-KONTRAKTOWE
w przez Hr. Adama Rzewuskiego w

Cena Rb. 1, — z przesyłką pocztową Rb. 1.20.
NAKLAD LEONA IDZIKOWSKIEGO W KIJOWIE.

KALENDARZ „WSI ILUSTROWANEJ” NA ROK 1912

Wydanie ozdobne, bogato ilustrowane. Do nabycia we wszystkich księgarniach i w redakcji „Wsi ilustr.”. Cena rb. 1.



WIEŚ ILUSTROWANA

MARZEC

1912.



Dom bankowy BR. POPŁAWSKI

w Warszawie
CZYSTA 8 (róg Wierzbowej)

Złatwia wszelkie operacje bankowe na najdogodniejszych warunkach.



„J. SOSNOWSKI”

wł. C. LISOWSKI

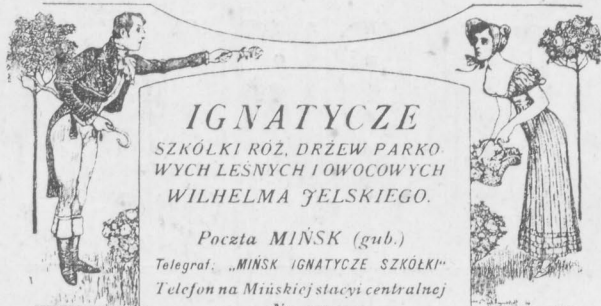
WARSZAWA, Trębacka Nr 9. Telefonu Nr 47-47.

poleca wielki wybór DUBELTÓWEK — fabryk:

WESTLEY-RICHARDS & Co Ltd., London; W. W. GREENER, London; G. DEFOURNY-SEVRIN, Liège; MANUFACTURE LIÉGEOISE D'ARMES A FEU Liège

SZTUCERY: J. SPRINGERA, HEYMA, MAUSERA,
WINCHESTRA, FRANCOтта i innych

Cenniki na żądanie.



IGNATYCZE
SZKÓLKI RÓZ, DRZEW PARKO-
WYCH LEŚNYCH I OWOCOWYCH
WILHELMA JEŁSKIEGO.

Poczta MIŃSK (gub.)
Telegraf: „MIŃSK IGNATYCZE SZKÓLKI”
Telefon na Mińskiej stacji centralnej
Nr. 212.

Katalog ilustrowany róż i drzew na żądanie bezpłatnie.

NASZE DWORY

(Album „Wsi Ilustrowanej“).

Kilkadziesiąt plansz z wszystkich dziecin. Oprawa skórzana. Do nabycia w redakcji i we wszystkich księgarniach.
Cena rb. 2, z przesył. rb. 2,25.

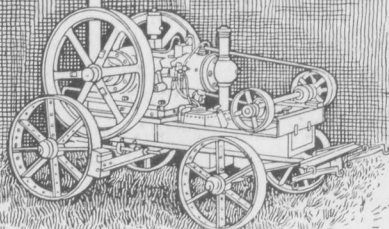
BIURO I PRZEDSIĘBIORSTWO MELIORACJI ROLNYCH INŻYNIERA T. SKORACZEWSKIEGO WARSZAWA, ul. Mokotowska № 59, tel. 252-86.

FILJA: Śrem W. Ks. Pozn.

Wszelkie projekty i roboty ziemne. Kredyt melioracyjny.
Warunki dogodne. Poważne referencje.

MOTORY „URSUS” — WARSZAWA

Adres telegraficz.:
„URSUS” Warszawa.



SILNIKI 2 i 4-taktowe: ropowe, naftowe, spirytusowe — prostota budowy, obsługa zbyteczna, bezwony wydmuch ekonomiczność działania.
LOKOMOBILE rolnicze — uznane za najpraktyczniejsze dla gospodarstw wiejskich.

SILNIKI do gazu miejskiego.
URZĄDZENIA silnikowe o gazie ssanym z antracytu: najtańsze źródło energii mechanicznej.

Przeszło 2,300 silników — w ruchu.

ZŁOTE MEDALE na ost. wyst.: w Częstochowie, Odesie, C.-Siolo, Lwowie i in.

Tow. Udział. Spec. Fabryki Armatur i Motorów „URSUS”
WARSZAWA — SIENNA 15.